Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 13. Lipca 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 24.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

TEATRY PROWINCJONALNE

Stanowisko teatru w społeczeństwie, wpływ tegoż na ludność i cel istnienia: wszystko to jest dotychczas przedmiotem spornym. Jedni uważają teatr za coś pośredniego między świątynią a szkołą a sztukę dramatyczną stawiają w rzędzie najważniejszych czynników oświaty narodowej, inni natomiast sądzą, że teatr nie jest niczem innem, tylko zacną i szlachetną rozrywką umysłową. Zdaje nam się, że jak zwykle, tak i w tej kwestji prawda leży pośrodku; że teatr jest rozrywką, na to każdy się zgodzi, nie mniej jednak jest prawdą, że bawiąc uczy zarazem, że chłoszcząc wady ludzkie w komedji, pobudza do zastanowienia się nad sobą, a przedstawiając wzniosłe czyny w tragedji, zapala umysł choćby tylko chwilowo do szlachetnych celów, że wyrabia pogląd na życie, a wreszcie oddaje nie błahe usługi rozwojowi języka i literaturze.

Rozumie się samo przez się, że tak jak przez wybór sztuk nudnych i złe ich przedstawienie teatr może przestać być rozrywką, tak samo pod złem kierownictwem może postradać wszystkie wyższe swoje zalety i stać się instytucją przynoszącą społeczeństwu więcej szkody niż korzyści. Jeżeli więc teatr ma rzeczywiście łączyć *utile dulci*, jeśli ma być przyjemną a zarazem pouczającą i umoralniającą instytucją, potrzeba przedewszystkiem umiejętnego, sumiennego kierownictwa i prawdziwie obywatelskiego poczucia zadania teatru, nie mniej potrzeba, aby aktorzy nie byli rzemieślnikami tylko artystami i z godnością odpowiadali swemu pieknemu powołaniu.

Niestety, rzeczywistość okazuje, że niezbędne te warunki pożytecznej działalności teatru są dotychczas po większej części *pia desideria*, a że nawet teatry stołeczne, hojnie subwencjonowane, nie są tem dla społeczeństwa czem być powinny. Cóż dopiero mówić o ubogich trupach prowincjonalnych, tułających się o głodzie i chłodzie z jednej mieściny do drugiej, podtrzymujących nędzny swój żywot chlebem żebraczym i różnemi niegodnemi takiej instytucji sztuczkami? Przedstawiają one najsmutniejszy widok, a przecież każdy mi przyzna, że jeżeli jaka scena to właśnie prowincjonalna ma największe cywilizacyjne zadanie. W stolicy posiada ludność mnóstwo innych instytucji kształcących, na prowincji, jedyną taką instytucją jest przejezdny teatr. Dlatego też kompletny upadek sceny prowincjonalnej w naszym kraju musi zasmucić każdego dbającego o rozwój umysłowy narodu.

Galicja co do teatrów prowincjonalnych przedstawia rażący kontrast z Królestwem Polskiem. Tam pod srogim uciskiem istnieje kilkanaście wcale dobrych i zasobnych trup prowincjonalnych, spełniających mimo wszelkich szykan władz rządowych, sumiennie swoje trudne zadanie, u nas posiadających blichtr wolnomyślnych urządzeń, błąka się kilka wędrownych towarzystw dramatycznych, z których ani jedno nawet w przybliżeniu nie odpowiada wymaganiom publiczności.

Teatry te przedstawiają się jakby prymitywne jeszcze budy jasełkowe, aktorowie rekrutują się przeważnie z pomiędzy wypędzonych ze szkół studentów i upadłych kobiet bez żadnego względu na talent i odpowiednie warunki, a dyrektorowie po większej części tyle mają wyobrażenia o sztuce dramatycznej ile ślepy o kolorach. Mówić zbyteczna o niedostatkach w garderobie i dekoracjach, o szczupłym zupełnie nie odpowiadającym rozwojowi sztuki repertoarzu, o nietaktownem postępowaniu członków trupy, w ogóle o tem wszystkiem co tak smutnie świadczy o upadku moralnym i materjalnym prowincjonalnej sceny.

Któż temu wszystkiemu winien? Rząd? Bynajmniej, pod tym względem byłoby niedorzecznością twierdzić coś podobnego. Obce żywioły? I to nie, zbyt jest ich mało w naszym kraju. Jak prawie wszystkiemu, co jest złe, winniśmy sami, tj. wina w równej części spada na same teatry i na publiczność. Ludzie bez wykształcenia, bez poczucia obowiązków, a do tego bez kapitałów stając na czele trup wędrownych, zdyskredytowali scenę w oczach ludności prowincjonalnej, która tylko liczbą, ale nie stopniem inteligencji różni się od mieszkańców stolicy, ludność zaś, niepomna na to, że od jej poparcia zależy rozwój lub upadek teatru, zachowywała się obojętnie nawet w obec nielicznych uczciwych usiłowań i w ten sposób doszliśmy do owego smutnego stanu, który nie jest chwilowym, ale stałym. Mówią, że dlatego nie uczęszczają do teatru, ponieważ jest lichym, a równocześnie ci, którzy to głoszą, tłumnie spieszą na cyniczne występy niemieckich i francuskich spiewaczek szansonetkowych, które przecież, nawet mimo upadku teatrów prowincjonalnych, nie mogą się równać z artystkami dramatycznemi. Inni znowu wymawiają się złym stanem finansowym, po większej jednak części jest to tylko wymówką, nie znamy bowiem nikogo, któregoby uczęszczanie do teatru zrujnowało. Apatja ta publiczności, gdyby nie była wkorzenioną, nie byłoby tak zastraszającą, ale zrosła się ona z nią niejako, a trzeba sił niepoślednich, aby podjąć z nią walkę skuteczną.

Cóż więc począć, aby złe istniejące zmieniło się na lepsze? Nie ma innego środka jak tylko utworzenie jednej porządnej trupy prowincjonalnej, którąby pracą sumienną zrehabilitowała swe poprzedniczki i obudziła publiczność z dotychczasowej apatji. Jeśli zważymy, że daleko trudniej złe poprawić, niż stawiać z gruntu rzecz dobrą, okazuje się jasno, że taka trupa powinna być tak pod względem repertoaru, jak i personalu wzorową, nie mniej dostatnio wyposażoną we wszystko, co zewnętrznie przyczynia się do podniesienia sztuki. Trudno przypuszczać, żeby ktoś na pewną stratę utworzył takie towarzystwo: byłoby to wielkie poświęcenie, które mógłby spełnić jakiś człowiek bardzo bogaty, a zarazem zamiłowany w sztuce dramatycznej. Przypadku nie wykluczamy, lepiej jednak obmyśleć jakiś realny projekt, niż wyczekiwać ratunku od losu. Naszem zadaniem podniesienie sceny prowincjonalnej z upadku jest sprawą narodową, a więc

powinien naród, a właściwie mówiąc, kraj zająć się nią powinien. Kraj daje subwencje obu teatrom stołecznym, które słusznie rzeczy biorąc, raczej miasta same niż fundusz krajowy, wspierać powinny, dlaczego nie miałby wesprzeć sceny prowincjonalnej przeznaczając rocznie pewną kwotę dla najlepszego towarzystwa prowincjonalnego? Subwencja ta powinna być zwiększoną przez sybsydja tych miast, w których towarzystwo daje przedstawienia. Rozumie się samo przez się, że jak dyrekcje teatrów stołecznych, tak samo dyrekcja tej wzorowej trupy prowincjonalnej powinna podlegać ścisłemu nadzorowi władz krajowych, które z większą starannością niż we Lwowie i Krakowie byłyby obowiązane czuwać nad jej repertoarem i personalem. Bliższe warunki łatwo można ułożyć.

Poseł, któryby podjętą przez nas pobieżnie myśl, poruszył w sejmie, z pewnością pozyskałby poparcie i spełniłby czyn wielkiej wagi i pożytku dla kraju.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

(*Ciąg dalszy.*)

II.

A w świecie handlowym jak już wiemy, otworzyło się dla Emila nagle i niespodziewanie pole szerokiej działalności.

Baron Pogromski święcie dotrzymał zawartej z nim umowy. Nazajutrz po owej kilkogodzinnej naradzie, Emil mógł już rozporządzać pieniędzmi.

Porzucił bezzwłocznie sklep, w którym dotychczas pracował i założył podobny na siebie.

Urządził go prędko, stosunki handlowe pozawiązywał, zaopatrzył się w towary, rozpoczął handel. Jakoś jednocześnie z jego otwarciem, w wyższym świecie warszawskim rozeszła się pogłoska bardzo pochlebna dla Pogromskich. Opowiadano sobie, że znaleźli biednego, bardzo dalekiego kuzyna, postanowili go pokierować, utorować mu drogę w świecie krociowym *datkiem* i zrobili z niego kupca, który wkrótce należeć będzie do pierwszych między tymi co zaopatrują miasto w towary kolonialne.

Warszawa uwielbia dobre uczynki i entuzjazmuje się do nich, szczególniej też w wyższych sferach, lubo i niższym nic zarzucić nie można.

Z tego powodu wiele rodzin bogatych zapragnęło przyjść w pomoc zamiarowi Pogromskich, przyczynić się do dobrego dzieła, przez zakupowanie towarów w nowo-otworzonym sklepie.

Firma wchodziła w modę, odbyt był ogromny.

Gościom zapraszanym na herbatę opowiadano, że u Rzewnickiego kupowano, cukier nawet od Rzewnickiego uznawano najlepszym, chociaż pochodził z tych samych fabryk co u innych.

Z drugiej strony Rzewnicki sprzedając tanio i sumiennie, umiał sobie ściągnąć klientelę klass mniej zamożnych.

Powodzenie było fenomenalne, w sklepie częstokroć dotłoczyć się nie było można.

Stary baron niezmiernie był zadowolony ze szczęścia Rzewnickiego, słusznie bowiem uważał się za autora tego szczęścia, a nie ma większej pociechy dla prawej duszy jak wspomnienie spełnionego dobrego uczynku.

Zachodził od czasu do czasu, zachowując incognito, niezbyt ściśle jednakże, do swego protegowanego. Emil w takich razach uważał za swój obowiązek okazywać mu jako wspólnikowi swoje rachunki, które z najściślejszą sumiennością prowadził.

Baron niby się wzdragał od przeglądania, lecz ciekawie do nich zaglądał, ulegając prośbom i naleganiom, a na usprawiedliwienie swoje mówiąc:

—Życzę ci szczęścia, mój kochany Emilu, miło mi więc zobaczyć że je masz.

Kilka takich przeglądów co kilka tygodni robionych przekonało barona, że spółka szła świetnie. Pomimo koniecznych wstępnych w pierwszym roku wydatków, na założenie i puszczenie w bieg machiny, wydatków, które do strat zaliczyć było trzeba, jeszcze przed upływem pierwszego półrocza działalności było pewnem prawie, że spółka przyniesie swoim akcjonarjuszom najmniej dwadzieścia procent dywidendy.

Dwadzieścia procent od większego kapitału łatwo to powiedzieć, ale niełatwo gdzie znaleźć. Kapitał oddany na taki procent składany podwaja się w niespełna cztery lata, a w sześć już staje się potrójnym, kiedy przy prawnej stopie piątego procentu trzeba na pierwsze czekać przeszło czternaście, a na drugie przeszło dwadzieścia parę lat.

Baron zaczął ślinkę połykać.

Zysk z włożonych w spółkę 50.000 mógł mu rocznie przynieść dziesięć tysięcy, było to dla niego bagatelką, żałował więc że włożył mało.

— Krocie przynosiłyby krocie, a tysiące to drobiazg taki.

Było się nad czem zastanowić, więc baron często myślał i rachował, przez co nabrał takiej wprawy w arytmetyce, że piąty procent od okrągłej liczby tysięcy potrafił obliczyć na pamięć.

Tak rozmyślając doszedł do wniosku, że kiedy Rzewnicki może mieć takie powodzenie w jednej części miasta, może je mieć także w drugiej i trzeciej, że kiedy tak zyskownie potrafi obracać małym kapitałem, może również zręczne roboty robić większemi pieniędzmi.

Nietylko że to wywnioskował, ale pojął jeszcze ten pewnik, że większy kapitał mniej daleko strat się obawiać może niż mniejszy.

Pewnego więc dnia wybrał się do Rzewnickiego i zajrzawszy, jak zwykle do jego rachunków zaczął przed nim wyprowadzać swe wnioski.

Emil nie przeczył.

—Jeżeli więc tak—zakonkludował baron, to dążeniem naszem być powinno rozszerzenie zakresu działań naszej spółki.

— Bezwątpienia.

— Rotschild obracający tysiącami milionów, mały bankier który ich ma zaledwo parę, i taki jak ty, Emilu, przedstawiciel spółki, w której cała gotówka puszczona w obrót wynosi tylko pięćdziesiąt tysięcy, potrzebują jednej głowy tylko, nieprawdaż?...

— Przynajmniej nie słychać, żeby którego z nich natura obdarzyła dwiema.

— A więc... zgadłeś do czego zmierzam... powinniśmy rozszerzyć działalność naszej spółki.

—Jeśli pan baron się zgodzi poświęcimy na to część zysków.

— Ho! to będzie rosło bardzo powoli.

— Tak... ale pewnie i stale.

— Wiesz co? — zaczął ostrożnie Pogromski — jeżeli tylko działanie pożyczanym kapitałem nie jest niebezpieczne dla takich jak nasza spółek, moglibyśmy rozszerzyć ją kredytem.

— Kredyt to dziwnie dzielny motor w sprawach handlowych, używamy go i teraz w obrocie. Na rozszerzenie interesu dopożyczyćby można, ale tylko wtedy, gdybyśmy mogli dostać na bardzo tani procent i na długi termin, a o to bardzo trudno. Handlującym dają zazwyczaj na półroku i procent biorą wysoki.

— Cóż nazywasz procentem tanim i co długim terminem.

— W porównaniu z interesami hypotecznemi są i te procenta dość duże, a termina krótkie. Moglibyśmy zgodzić się na procent szósty i na termin roczny, z możliwością przedłużania go na następne lata, jeśli pożyczka nie zostanie wypowiedzianą kwartalem naprzód.

Baron pomyślał.

— Niezłe warunki — rzekł w duchu.

I odpowiedział po chwili Emilowi.

— Na takich warunkach bez najmniejszej trudności dostaniemy pieniędzy.

—Wątpię, panie baronie. Spółka nasza jeszcze zbyt młoda, by sobie zjednać mogła takie zaufania kapitalistów.

— Ja mam w niej, to jest w tobie, panie Emilu, zaufanie nieograniczone...

— Nie zawiodę go, panie baronie.

— I dla tego... jeżeli prawo handlowe nie sprzeciwia się temu, żeby jedna i taż sama osoba była spólnikiem i wierzycielem firmy...

— Co do cichych uczestników, prawo nie sprzeciwia się temu wcale, tylko spólnicy firmowi, jako odpowiedzialni całym swoim majątkiem za zobowiązania spółki w takiem położeniu prawnie stanąćby nie mogli.

—No, kiedy tak, to ja jako cichy uczestnik, mogę być twoim czyli naszym spólnym wierzycielem i pożyczę ci pieniędzy ile chcesz na takich warunkach jakie podałeś za najtańsze.

Emil przystał i tegoż dnia jeszcze baron wniósł do jego kasy sto tysięcy, a w miesiąc potem już nie jeden ale trzy sklepy pod firmą Rzewnickiego istniały.

A nietylko istniały, lecz miały powodzenie szalone.

Rozgłos bowiem rośnie sam przez się, gdy raz stał się podstawą powodzenia i przedmiotem rozmów powszechnych. Warszawa widząc, że nowy kupiec, u którego niektórych rzeczy taniej niż gdzieindziej dostać można było, który konkurencją swoją wywołał na niejednym przedmiocie zniżenie cen u innych, nietylko nie bankrutuje, lecz na większą dale-

ko skalę działalność swoją rozwija, nabrała przekonania, że musi być pewnym i lepszości swoich towarów i możności wytrzymania wszelkiej rywalizacji, i tłumem do niego spieszyła.

Emil sam naturalnie nie mógł poradzić tak rozwiniętej działalności. W każdym z trzech sklepów musiał mieć wyręczyciela, sobie pozostawiając tylko nadzór i kierunek ogólny, oraz interesa zewnętrzne, w handlu daleko ważniejsze od wewnętrznych, które cudzemi rękami przy pilnym dozorze bez straty załatwiać można.

Szczęście mu służyło i pod tym względem. Pomiędzy dawnymi kolegami wynalazł ludzi, na których z zaufaniem mógł polegać.

Mimo to był czujnym, bacznym, ostrożnym, dawał dowody niezmordowanej energii, zręczności, przenikliwości, słowem tej encyklopedji przymiotów, których najczęściej ci którzy przychodzą do sklepu po pieprz lub świece stearynowe nie domyślają się bynajmniej, żeby kupiec mógł potrzebować.

A życie prowadził skromne i umiarkowane, jak dawniej.

Baron był nim zachwycony.

Pierwszy roczny bilans wykazał 36,000 zysku, od którego tylko półroczny procent od dopożyczonych przez barona stu tysięcy opłacić było trzeba, resztą podzielili się wspólnicy.

Wprawiony do rachunków Pogromski obliczył łatwo, że pieniądze powierzone i pożyczone Emilowi przyniosły mu w pierwszym zaraz roku $19^{1}/_{2}$ od sta.

— Na drugi rok będzie jeszcze więcej — myślał — a choćby było tylko tyle... nawet mniej trochę... zawsze doskonały interes.

Emil miał już kilkanaście tysięcy własnej gotówki, czuł, że się stawał niezależnym...

Była to podobno pozorna tylko niezależność, bo go krępował bardzo udział i pożyczka barona. Nie spostrzegł tego jednakże, bo te więzy nie zdawały mu się ciężkiemi. Uznawał naturalnem, że ten co grubą sumę włożył w interes więcej z niego korzysta, niż ten co włożył tylko pracę rąk i głowy: uznawał również naturalnem, że w stowarzyszeniu niezależność osobista samym faktem zbiorowego działania musi być w pewnych względach ograniczoną.

Zresztą policzyć można nieco na karb olśnienia pierwszem powodzeniem, że mu się przyszłość przedstawiała jeszcze różowiej, niż rzeczywiście wyglądać była powinna, chociaż dotąd nie było najmniejszego powodu obawiać się żeby miała nagle spochmurnieć.

Pogromskiemu także jak najróżowsze snuły się po myślach widoki.

Jeżeli potrawa smakuje podniebieniu, dla czego nie zjeść jej więcej, mawiają niekiedy smakosze.

Kieszeń jest także smakoszem i są potrawy, na które, szczęśliwszej od wielu łakotnistiów, nie braknie jej nigdy apetytu.

Taką właśnie potrawą uczęstował Emil kieszeń barona. Półdwudziesta procentu jest to dań niecodzienna na spekulacyjnych półmiskach.

Pogromski aż się oblizał.

— Słuchaj panie Emilu — rzekł — wszakże sprzedaż hurtowna jest niemniej zyskowną od detalicznej.

— To pewna.

— Więc nie przestając handlu detalicznego moglibyśmy zacząć hurtowny...

— Prawda... lecz na to trzeba...

— Wiem... kapitału na tani kredyt i na dłuższy termin... dam go z ochotą...

— Panie baronie...

— Oh! nie dziękuj, panie Emilu... ja raczej dziękować powinienem... sam widzisz, że mi robisz przysługę biorąc moje pieniądze... gdzieżbym je umieścił tak korzystnie i tak pożytecznie?...

Emil chciał podobno nietyle dziękować jak zrobić pewną uwagę, czy nie zbyt śmiałem będzie obciążanie spółki mającej kapitał nominalny stu tysięczny, rzeczywisty ledwie połowę tego wynoszący, takim ogromnym kredytem. Odezwanie się barona zamknęło mu usta, uważał go za swego dobrodzieja, nie śmiał mu sprzeciwiać się i przeczyć.

Baron opierając się na jego zgodzie, dziwiąc się nawet trochę, że się nie rozpływał w podzięki, wpakował mu jeszcze dwakroć sto tysięcy na takich jak poprzednio warunkach.

Firma Rzewnickiego przy pomocy tego nowego pieniężnego zasiłku stała się bardzo poważną na placu warszawskim.

Obok ciągle kwitnących sklepów z pieprzem i cukrem, spółka którą on tylko jeden reprezentował i której wszystkie interesa miano za jego osobiste, rozpoczęła handel *en gros*. Sprowadzała towary dla mniejszych kupców, miała ich zapasy na składach i mniejszemu tłumowi handlujących faktycznie uczuć dawała swą przewagę.

Warszawianie zdziwieni przypatrywali się temu nagłemu wzrostowi fortuny Rzewnickiego. W pojęciu niewtajemniczonych w arkana handlu to wszystko co widzą w sklepach i składach kupca, w jego kasach i w jego obrocie, uchodzi za osobisty majątek osoby wymienionej w firmie. Jeżeli firma jest spółkową i składa się z nazwiska oraz zwyczajowej formuły: *et Comp.*, to głos powszechny jest najmocniej przekonany, że spólnik imienny posiada wszystko, a panu *et Comp.*, nikt rozsądny nie skredytowałby stu rubli.

— Temu człowiekowi majątek rośnie jak na drożdżach — mówili jedni.

— Wkrótce sobie pałac wystawi — dodawali drudzy.

— Wszystko z funcików kawy i paczek cykorji... ja nie pojmuję nawet, że na tem można tyle zarabiać... ci kupcy muszą chyba darmo kawę i cykorję dostawać — rozumował jakiś filozof, który lubił zgłębiać przyczynę każdej rzeczy i zwykł był wszystko brać pilnie pod kredkę.

— Ach!... pod szczęśliwą gwiazdą się urodził — odpowiadał inny, teorji przeznaczenia wyznawca.

Tak mówiono, mówiono i inaczej, ale samo to że mówiono — było już najlepszą dla interesu Rzewnickiego reklamą.

Drugi rok poszedł niemniej świetnie jak pierwszy. Dywidenda spółkowa była tak wielką, że baronowi tyleż co w roku pierwszym, bo $19^{1}/_{2}$ przyniosła. Stary Pogromski miał dochodu ze spółki około dziesięciu tysięcy rubli.

Mniej znacznie miał Rzewnicki, bo on nie brał procentu od trzechkrociowego kapitału, stanął jednakże na takiem stanowisku, że mógł już zaproponować baronowi podniesienie zakładowego kapitału spółki.

Wnieśli więc obaj jeszcze po 50,000, bo Emil miał już tyle oszczędzonego ze swojej części i spółka, łącznie z dopożyczonemi przez barona pieniędzmi obracała blisko półmiljonem.

Baronowi zdawało się to zamało.

— Na handel hurtowny i detaliczny — rzekł do Emila — byłoby dosyć... ale czyż na tem skończyć mamy?... Kto się na krociach zaprawił, może obracać milionami. Zacznijmy od pierwszego.

Wyraz „miljon“ przestraszył trochę Emila.

— Panie baronie — zaczął — ja się boję...

— Otóż masz! mój kochany Emilu... głupstwoś wielkie powiedział... pozwól, że ci to powiem po ojcowsku... Twoja obawa wygląda tak zupełnie jakby ten co już rybacką łódką morze przepłynął bał się na oceany wyruszyć okrętem.

Porównanie było tak trafne, że niczem go odeprzeć nie było można.

Emil przystał i wkrótce potem obok poprzednio prowadzonych interesów, zaczął prowadzić interesa bankierskie, któremi według planu swego działać miał szczególniej na poparcie przemysłu krajowego, otwieraniem kredytu i ułatwianiem obrotów.

Pogromski uzupełnił pożyczką pieniądze, któremi Rzewnicki obracał, aż do miliona, zawsze na tych samych warunkach. Sumy tej nie wniósł odrazu, może dlatego, żeby nie przerażać spólnika wielkością powierzonego mu kapitału, ale zkąd mógł ściągał gotówkę i lokował ją u Emila wiedząc że jej nigdzie na lepszą lichwę nie umieści. (C. d. n.)

Pączek róży.

Rzekła — róży podając mi pączek:
„Przypnij pan go po lewej tu sobie“. —
„O dziękuję! — różą z pani rączek
Z jakąż rozkoszą serce ozdobię“
„Przepraszam pana, nie myślałam tak,
Chciałam ozdobić tylko pański frak.“

I takim na mnie wzrokiem rzuciła,
Tak odepchnęła śmiechem szyderczym,
Że mię do głębi boleść przeszyła,
Jakby żelaza ostrzem morderczem,
I serce moje zbroczyło się krwią!
Ach! — lecz kwiat jej, jak rosą, błyszczał łzą.

Do ust szczęśliwy różę tuliłem
Jako miłości niemy zadatek,
Jak nektar łzy jej perłę wypiłem,
Na sercu drogi złożyłem kwiatek.
I odtąd czarem szalone jej łzy,
Serce wciąż tęskni, dusza o niej śni!

Trojan.

*

Ciesz się i smuć.

Pączek białej róży kochanka ci dała!
Do szklanki wody niezwłocznie go włóż
I szczęścia ciesz się nadzieją, o ciesz!
Nim minie doba z twego pączka już
Balsamiczna róża rozkwitnie się cała. —
Lecz wierz mi bracie, o niestety wierz!
Zanim się spostrzeżesz, róża twa zżółknieje.
Rychło zwiędnięty obsypie się kwiat!
Radzęć więc smuć się, zawczasu się smuć,
Że tego świata taki smutny ład.
Każde szczęścia kwiecie zbyt prędko więdnieje
Rozumem serce zawczasu więc chłódź!

Trojan.

O BAJRONIZMIE W POEZJI POLSKIEJ.

STUDJUM LITERACKIE

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(Ciąg dalszy).

II.

Jeżeli w Anglji poezja i życie Byrona budziły zgorszenie i wywoływały potoki pobożnych obelg, to za to na stałym lądzie Europy, na najdalszych jego krawędziach, imię Byrona wymawiano z czcią a pieśni jego słuchano z zachwytem. Z ponurych obrazów bajrońskich strzelała wszędzie promieniem idea wolności, ku której potajemnie biły serca ludów, ciśniętych wówczas żelaznemi dłońmi reakcji. Najwspanialszym komentarzem do tej poezji był naprzód udział Byrona w ruchach włoskich, potem wyprawa do Grecji. Te ofiarne czyny lorda-poety jeszcze większym urokiem otaczały jego poezją i tem popularniejszą ją czyniły. Życie Byrona było jakby poematem o tle posępno-bohaterskiem i ten to poemat nie mało się przyczynił do tak bujnego rozkrzewienia się bajronizmu w Europie.

W Polsce pojawia się bajronizm nie jednocześnie wprawdzie z przebudzeniem się romantyzmu, ale bardzo prędko potem. Pierwszy apostoł romantyzmu, spokojny, trzeźwy i słodki Brodziński, jakże dalekim jest od ponurości, goryczy i ironji byrońskiej. W uroczej sielance jego ludzie tacy prości, tak zdrowi, tak zadowoleni ze swojej mierności, niebo nad nimi tak pogodne, tak spokojną wiarą ozłocone, że sielankę tę można uważać za przeciwny biegun bajronizmu. Taki początek nowej poezji zdawał się zapowiadać najjaśniejszą pogodę dla jej ducha; tymczasem ledwie parę lat upłynęło, a już przez ten czysty błękit ciągnęły chmury bajronizmu.

Owczesna chwila dziejowa usposabiała społeczeństwo polskie może bardziej, niż jakiekolwiek inne do przyjęcia bajronizmu. Jeżeli gdzieindziej były zawiedzione nadzieje, to tu był zawód największy i najcięższy. Jeżeli inne narody były olśnione sławą Napoleona, to Polacy byli formalnie oślepieni. Wiódł on ich gdzie chciał, przelewali dla niego krew, jak wodę, wierzyli w jego gwiazdę, niemal jak w Pana Boga.

W ciemnej nocy politycznego bytu, jaka się rozciągnęła nad Polską po powstaniu Kościuszkowskiem, brzask sławy Napoleońskiej wydał się Polakom zapowiedzią dnia nowego, i im głębszą, im bardziej beznadziejną była przedtem rozpacz, tem żywiej, tem gorączkowiej powitano mniemaną jutrzenkę wolności. Ale fałszywe blaski zawiodły; nie zeszedł dzień upragniony, wróciła dawniejsza ciemność, może nie tak czarna, jak przedtem, gdyż oczy się już z nią oswoiły, może złagodzona niektóremi ulgami, ale zawsze posępna, jednostajna, bezbarwna, usposabiająca do smutnych rozmyślań. Umysły, wstrząśnięte tylu potężnymi wypadkami, a skazane teraz na ciszę i bezczynność, skłonne były do marzeń poetycznych. Miłą musiała być dla nich poezja, której posępne tło odpowiadało ich posępnemu usposobieniu, a jej duch liberalny ich zawiedzionym pragnieniom.

Ale nietylko chwila dziejowa tak dobrze usposabiała społeczeństwo polskie dla bajronizmu i sam charakter narodowy otwierał mu szeroko wrota do Polski. W żadnej poezji indywidualizm nie występuje z taką siłą jak w byrońskiej, w żadnym człowieku może siła jego do tak krańcowych nie doszła rozmiarów, jak w Bajronie. Tej to siły uosobieniem jest Manfred, siły fatalnej, która mu wprawdzie pozwala urągać duchom a nawet im rozkazywać, ale która go tak gniecie swoim ciężarem, że najwyższem, jedynem pragnieniem Manfreda jest zapomnieć siebie, przestać istnieć, to jest wraz z istnieniem pozbyć się i tej siły indywidualizmu, której łupina ludzka znieść nie zdoła. Otóż mało jest narodów, któreby pod względem tej siły fatalnej lub dobroczynnej, stosownie do tego, ku czemu jest zwróconą, mogły się mierzyć z polskim. Do nadzwyczajnego jej rozwinięcia w ciągu wieków przyczyniła się złota wolność szlachecka, a najwyższym wyrazem idealizmu, fatalnemi zgłoskami w dziejach zapisanym, było słynne liberum veto, które stawiało wolę indywiduum nad zbiorową wolę narodu, nad jego dobro i pożytek. Już wiek minął, jak dopatrzyliśmy trucizny w złotym owocu wolności szlacheckiej, już wiek mija, jak z narodowego katechizmu wymazaliśmy zasadę anarchiczną, ale przez to siły indywidualizmu wiekami zgromadzonej nie pozbyliśmy się, co najwięcej mogliśmy nieco uregulować jej koryto. Awanturniczy duch Zborowskich i Wiśniowieckich żyje w nas, choć się objawia dziś zupełnie inaczej, nie tak świetnie, nie z takim blaskiem, jak niegdyś, ale stosownie do naszego dzisiejszego położenia. Dlatego to wszystko, co w strunę indywidualizmu trąca, jest dla nas tak zrozumiałem, tak przystępnem i tak przyjemnem, dlatego to bajronizm, tak szybko się u nas przyjął i zakwitł tak obfitym kwiatem.

Ale jeżeli chwila dziejowa usposabiała nasze społeczeństwo do przyjęcia bajronizmu, jeżeli indywidualizm bajroński pociągał nas ku sobie, to były rzeczy w bajronizmie niejako zbyteczne dla nas, nie odpowiadające nastrojowi umysłów polskich. Takim był przedewszystkiem sceptyczym religijny. Wiek XVIII nie omieszkał wprawdzie wycisnąć swego piętna i na Polsce, ale piętno to z lekka się tylko wycisnęło na wyższych warstwach i bynajmniej nie ostudziło gorącej pobożności, która łono narodu ogrzewała. To też będziemy mieli sposobność zauważyć, że ta struna bajronizmu najrzadziej się w poezji polskiej odzywa. Główne struny: to melancholja, demoniczność, duma i liberalizm, który się wszędzie splata z patrjotycznym kierunkiem. Przypatrzmy się teraz głównym przedstawicielom bajronizmu u nas.

III.

Moje młode pacholę! gdzież to ty wędrujesz?
Czy z ziemi świętej wracasz, że tak utyskujesz?
„Oh, nie — ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny,
I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,
I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze;
To mnie ciężko na sercu i ja sobie płaczę.
A kiedy się roześmieję — to jak za pokutę;
A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę.
Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,
Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość,
Bo . . . . .
— To czegoż chcesz, pacholę? „Uciec od rozpaczy".

Niejeden zapewne z czytelników moich łamał sobie głowę nad pytaniem, co znaczy to pacholę w Marji Malczewskiego, zkąd się bierze i po co? Pytanie trudne, które sam poeta stawia sobie przy końcu poematu, opowiadając wrażenia, jakich Wacław doznawał po zgłębieniu strasznej zbrodni. Stawia i nie daje na nie odpowiedzi.

Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem? objął rycerza i w cwał polecieli.

Czy poeta chciał coś usymbolizować w tej postaci? Czy też w istocie urodziła się ona tylko z melancholijnej fantazji, nie zdającej sobie sprawy ze swojej twórczości? Z samych już zapytań poety możnaby wnioskować na korzyść pierwszego twierdzenia, ale cokolwiek chciał w niej wyrazić Malczewski, dla każdego, kto studjuje poezję polską dziewiętnastego wieku, owo pacholę może być wybornem uosobieniem bajronizmu, który także „przywędrował" ze stron dalekich, objął poezją polską w osobie Malczewskiego i „w cwał polecieli" po stepie ukraińskim.

W istocie Malczewski jest pierwszym u nas w kolei czasu przedstawicielem bajronizmu. Czwarta część Dziadów, która poprzedziła pojawienie się Marji, melodramatyczną posępność swoją bynajmniej nie z bajronizmu czerpie, ale z werteryzmu i dopiero później prąd bajroniczny pobudzająco oddziałał na muzę Mickiewicza.

O Malczewskim możnaby powiedzieć, że się zaraził bajronizmem przez dotknięcie, jak wiadomo bowiem on jeden z romantycznych poetów polskich znał osobiście Bajrona, a nawet miał mu podać myśl do napisania Mazepy. Wpływu jednak tej osobistej znajomości nie należy zbyt przeceniać już choćby dlatego, że Marja dopiero w kilka lat później na świat się ukazała. W każdym razie ta znajomość może nam służyć za jedną więcej rękojmię, że Malczewski znał dobrze poezję Bajrona i że był jej wielbicielem. Być też może, że Byron swoim Mazepą zwrócił uwagę naszego poety na poetyczność tła ukraińskiego. Zresztą bardzo niewiele wiemy o ich wzajemnym stosunku i to wszystko, coby o tem można było powiedzieć, polega na bardzo dalekich przypuszczeniach.

Ale znamy życie Malczewskiego i pojmujemy, dlaczego się tak łatwo bajronizm zaszczepił w jego duszy. Po świetnej, swobodnej i lekkiej jak motyl młodości nastąpił „wiek męski, wiek klęski," jak powiada Mickiewicz, wiek przesytu, rozczarowania, zniechęcenia, a za tą smutną trójcą jak giermek, szedł niedostatek. Służąc w wojsku napoleońskiem Malczewski był jednym z tych, co roili wielkie nadzieje dla przyszłości narodu, a potem z bliska patrzali na krwawy zachód Napoleońskiego szczęścia. Z nadziejami patrjotycznemi łączyły się i widoki osobiste;

wszystko to znikło z upadkiem Napoleona. Opuściwszy służbę wojenną, ktora go już niczem nie nęciła, nie wiedział co z sobą zrobić; ani poetyczne usposobienie, ani arystokratyczne wychowanie, ani dotychczasowe życie ulubieńca salonów i buduarów, nie popychało go do praktycznych zajęć, które są zwykle dobrem lekarstwem na rany i choroby serca. Potrzebował nowych wrażeń, środki pieniężne jeszcze pozwalały, wyruszył więc w świat na wędrówkę. Było już coś bajronicznego, Childe - haroldowskiego, a nawet manfredowskiego w tej wędrówce: w istocie nie poprzestawał na łatwych wrażeniach nasz poeta, skoro się piął na szczyty Mont-Blanc'u, aby ztamtąd okiem Manfreda lub bajronicznego Kordjana spoglądać na świat, rozścielający się olbrzymim kręgiem pod nogami. W tej wędrówce dalej poznał się z bajrońską poezją, a nareszcie z samym Bajronem. Genialnego życia lorda-poety nie mógł naśladować Malczewski, któremu rozstrojone stosunki finansowe nakazały powracać do kraju, ale poezja bajrońska rzuciła weń nasienie, które w kilka lat potem miało zejść wonnym, choć polnym kwiatem, jak trafnie ktoś nazwał jego Marją.

Po powrocie do kraju za resztki fortuny wziął małą dzierżawę na Wołyniu: potrzeba było pomyśleć o ustaleniu losu. Ale czy nie rozpaczliwa to rzecz była dla marzyciela, salonowca, który nigdy nie miał sposobności nabrać zamiłowania w gospodarstwie, dla wędrowca, który zwiedził tyle świata, wreszcie dla człowieka bez rodziny, zakopać się w głuchej wioszczynie i tam żyć życiem poczciwych, ale ograniczonych hreczkosiejów sąsiadów? Kto wie zresztą, możeby to ciche życie pod niską strzechą szlacheckiego dworku uspokajająco oddziałało na poetę, gdyby się nie był wplątał w stosunek miłosny, który zamiast być źródłem czystych i pokrzepiających wrażeń, stał się dla autora Marji kulą galarnika i do reszty w nim osłabił energję woli. Gdy więc porzuciwszy dzierżawę znalazł się w Warszawie, stan jego materjalny i moralny był bardzo smutny; za nim leżała zmarnowana młodość, której bujny kwiat opadł, nie zostawiwszy żadnego owocu prócz zgryzot, przed nim stała nędza, której odpędzić nie umiał, nie miał siły. W nim samym miłość kobiety, zdolna zwykle osłodzić i ozłocić najchmurniejszą rzeczywistość, zostawiła tylko przesyt i wyrzuty sumienia, że zatruł spokój rodziny. Wśród takich to warunków i w takiem usposobieniu pisał swoją Marję i nic dziwnego, że duch bajroniczny stanął wówczas za nimi rzucił cień swoich skrzydeł na cały ten poemat ukraiński.

Ze wszystkich tonów bajronizmu w Marji Malczewskiego jeden tylko odzywa się ciągle, nieprzerwanie, niemal w każdym wierszu zaklęty, odzywa się raz słabiej, raz głośniej. Tym tonem jest melancholja, smutek nad wielką znikomością wszystkiego, co żyje, bez różnicy, czy jest złe, czy dobre. I owszem, to co dobre, piękne i szlachetne, krócej jeszcze żyje, prędzej jeszcze ginie, niźli to co złe i przewrotne.

> Ach, pytaj raczej na co dobroć się tu przyda,
> Gdzie, co czułe, szlachetne tylko chwilę świeci.
> Bo kto raz ludzi porzuci
> Nigdy już do nich nie wróci.
> Ach, na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
> Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

Czemże jest sama Marja, jak nie bujnym i pięknym kwiatem, który ginie przedwcześnie dlatego właśnie, że jest pięknym i wonnym, bo tylko dlatego Wacław pojął ją za żonę? To też ostatni dwuwiersz doskonale streszcza w sobie ton, koloryt, myśl przewodnią, a raczej uczucie przewodnie poematu, które się w rozmaitych zwrotkach powtarza a zawsze z piętnem najgłębszej melancholji.

Wacław, jak wszyscy bohaterowie bajroniczni, wtrącony jest, popchnięty przez nieszczęście na drogę zemsty, ale melancholijna muza Malczewskiego nie miała dość energji i śmiałości, aby go nam na tej drodze pokazać. Pod piórem Byrona poemat zaczynałby się dopiero od śmierci Marji, główną treścią jego byłaby zemsta Wacława. Malczewski cofnął się przed obrazem zemsty, dokonanej przez syna na ojcu, a i Słowacki, więcej od niego mający energji, ze swego Wacława, którego pokazał w chwili zgonu, zrobił także biernego tylko bohatera. Jednakże chwilę, w której ziarno zemsty pada na duszę Wacława, wspaniale opisał Malczewski; jestto jeden z najpiękniejszych ustępów Marji, ustęp, w którym poezja Malczewskiego na najwyższą do jakiej zdolna, zdobywa się energję. Pacholę wspina się na palcach, aby się do ucha dostać rycerzowi i szepce mu swą powieść:

> a w twarzy rycerza
> Czarna, czarniejsza chmura coraz się rozszerza
> I znów nagle rozpaczą zaciemnione lica
> Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca;
> Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
> Co patrzy w jeden przedmiot, w trumnę przeciwnika,
> Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła
> Gdy i w najbliższem sercu trucizny dociekła!
> Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
> Krwi, krzyku, dzwonów, płomień popsutego łona,
> Co domowej niezgody rozpala pochodnię
> I w własnem swojem gnieździe zbrodnią karze zbrodnię!
> Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
> Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki,
> O jak bezecnej zemście, co nim słusznie miota,
> Towarzyszy okropnie rozpacz i zgryzota!
> A wszystkie razem bole w osłupiałem oku
> Łączy myśl przeraźliwa, niezmienność wyroku!
> Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów jedzona,
> Wzór najsroższych męczarni, postać Laokona.

Nasienie zemsty widzimy, ale krwawy jej kwiat nie zakwita przed naszemi oczyma. Rzuciwszy potężny obraz zbudzenia się zemsty, poeta wchodzi znowu w obłok melancholji.

> I tak Wacław odrazu wszystko w świecie traci,
> Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi, swych braci;
> I nigdy już swej lubej ze snu nie obudzi,
> Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi.

Poeta porównywa swego bohatera do dębu piorunem rażonego. Wspaniała tu znowu a nieskończenie melancholijna odzywa się melodja, a zawsze na temat znikomości wszystkiego.

> W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie
> Dla jednych czas powoli odrętwienie niesie;
> Gubią listek po listku, aż w późnej jesieni,
> Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni,
> Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
> Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
> I znów błyśnie pogoda i czasem się zdaje,
> Że weselsza zieloność po burzy powstaje;
> Lecz kto się bliżej wpatrzy, choć pozór jednaki,
> Dostrzeże czarne wewnątrz spalenizny znaki.

Melancholijność Marji tkwi nietylko w wyborze tematu, w przedstawieniu bohatera, refleksjach poety, ale zarazem i w tle miejscowem, doskonale dobranem do tematu. Kto zna step ukraiński, nie ze słyszenia, nie ze stereotypowych opisów, ale kto nań patrzał własnemi oczyma, ten wie, jaki się hymn smutku z bezbrzeżnej jego piersi ku niebu podnosi. Tego smutku stepowego nikt nie wyspiewał lepiej od Malczewskiego:

> I ciche, puste pola, znikli już rycerze,
> A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze.
> Włóczy się wzrok w przestrzeni i gdzie tylko zajdzie,
> Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie,
> Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci,
> Czasem krącząc i wrona i jej cień przeleci.
> Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny zaświerka
> I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka.
> To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie
> Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
> Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brzemię?
> Nie — chyba lot zwinąwszy zanurzy się w ziemię;
> Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzałe leżą,
> I kości, co niewiedzieć do kogo należą.
> Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
> Lub robactwo rozległe w świeżem jeszcze ciele;
> Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
> Jak rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez granic.

Tak więc Malczewski wziął z bajronizmu melancholią i stworzył Marję, utwór, w którym ustępy nieporównanej piękności pomięszane są z wierszami niewykończonymi, niejasnymi, często wcale niezrozumiałymi, wreszcie zaprawnymi cukrową sentymentalnością, jak np. owo sławne: „Czy Marja ciebie kocha itd.“ Siła jednak pierwszych ustępów jest tak wielka, ton ich tak głęboki, że dla niego zapominamy o usterkach Marji, przełykamy je, pomijamy i wiecznie lubujemy się tym polnym kwiatem poezji polskiej i tym pierwiosnkiem bajronizmu.

(C. d. n.)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IX.

Przybywały do Paryża resztki powstania. Trzeba było zająć się pośrednictwem między hołotą wychodźczą a komitetami polskimi. Wpływami ziomków franko-polski komitet nie rozwiązał się wcale, lecz nadal zajmował się zbiorami. Toż samo robiły komitety amerykańskie i belgijskie.

Szóstego listopada 1831 stanął tymczasowy komitet narodowy polski. Prezesem jego był Bonawentura *Niemojewski*, członkami zaś Joachim *Lelewel*, Teodor *Morawski*, Franciszek *Wołowski* i Kantorbery *Tymowski*. W tym składzie on nie zadawalniał rodaków. Teodor Morawski co mawiał: „Prawda że Polska upadła, ale byłem posłem i ministrem choć przez dni kilkanaście i te tytuły zostaną mi aż do śmierci“; Niemojewski, prezes b. rządu narodowego, który nie pojmował by mu kiedykolwiek ten tytuł służył na tyle co biskupom *in portibus*, któremu nie mieściło się w głowie, by emigranci mogli żyć politycznie i działać dla narodu, a głosił zawsze, że zadaniem komitetu pamiętać jedynie o brzuchu: kwalifikowali się bardziej do czeredy darmozjadów Czartoryszczyzny (dokąd pierwszy i trafił) lub na polityczne zera, niż do przedstawiania spraw narodu ujarzmionego. Musiało więc powstawać szemranie przeciwko tymczasowemu komitetowi i to tem większe im więcej Polaków przybywało do Paryża.

Jeżeli ogół nie zadowalniał się komitetem, to i komitet również miał powody niezadowolenia z małego powodowania się jego pojęciami, a po starciu jakie miało miejsce z powodu obchodu rocznicy powstania listopadowego, Niemojewski złożył prezesostwo i komitet tymczasowy się rozwiązał na publicznem zebraniu rodaków w grudniu 1831. Obecnych zaś 58 wybrali innych. *Lelewel*, *Zwierkowski* i L. *Chodźko*, mieli po 55 głosów. Dalej weszli Roman *Sołtyk*, Antoni *Przeciszewski*, Antoni *Hłuszniewicz*, posłowie sejmowi, Tadeusz *Krępowiecki* porucznik artylerji, Karol *Krajtsir* lekarz, *Gurowski* Adam żołnierz-ochotnik. Tak wybrany komitet się uorganizował i przybrał jeszcze *Pietkiewicza* Walerjana za sekretarza, a Edwarda Karola *Wodzińskiego* za podskarbiego. Gurowski wszedł już wówczas do komitetu zaledwie po dwukrotnem głosowaniu.

Ten nowy komitet nazwał się *stałym* i wcale już nie unikał życia politycznego. Chociaż jego polityka bardziej była zwrócona na zewnątrz, wpływała na wyrobienie solidarności narodów, ku czemu już pierwszy krok położony był przez komitet centralny na korzyść Polaków.

Komitet stały narodowy napisał regulamin wydrukowany po francusku i po polsku, i każdy przybywający Polak mógł przystępować do tego związku patrjotycznego. „Jedność uczuć, tożsamość temperamentu politycznego, już od najdawniejszych czasów ścisłym przyjaźni węzłem złączyły Polaka z Francuzem" — poetyzuje komitet narodowy. „Krwią Francuzów i polską te same skropiły się pola; widziało ich razem skwarne niebo Haiti, widziały ich razem grobowe gmachy władzców Egiptu, ich krwią zmieszaną zrumieniły się wody Borystenu i Tagu. Przez lat 20, bo od 1795—1815, dwakroć stotysięcy Polaków legło pod sztandarami Francji, *a krew ich zapłaciła za prawo obywatelstwa drugich*." Rzeczywiście Polacy w te czasy liczyli sumiennie przysługujące im prawo obywatelstwa we Francji i w tej mierze zupełnie się zgadzali z przytoczoną odezwą centralnego komitetu na korzyść Polaków. Ostatnia walka nawet była podjętą w chwili zamierzonej wojny przeciwko Francji, — i dla tego to komitet narodowy dodaje: „Ale północny pan..... ostrzył miecz na ukaranie ludu, który zdarł maskę obłudzie i wydarte odzyskał prawa. Za ostrze tego miecza schwycili Polacy: schwycili, a szczerba na nim ręką rozpaczy wygnieciona zbezsilniła północnego olbrzyma."

Zwycięstwo Polski otworzyłoby przytułek ludom gnębionym Zachodu. Z upadkiem powstania tułacze musieli powiedzieć: „stało się! dziś my żądamy przytułku; a chcąc choć w najdalszym zakątku świata żywić się wspomnieniem ojczyzny i wiarą w jej zmartwychwstanie, łączymy się na gościnnej ziemi Franków, *sądząc, że do tego nabyliśmy prawa!*"*) Tem większe prawo przysługiwało do podobnego wygłoszenia, że Ludwik Filip 23 lipca 1831 przy otwarciu izb zapewniał „Polsce tę narodowość, która się oparła czasowi i różnym jego kolejom (cette nationalité qui a resisté au temps et à ses vicissitudes)." Izby zaś zwołane, wskutek zabiegów posłów nam sprzyjających, wyraziły w adresie do tronu, potwierdzenie słów królewskich i równocześnie wzięły pod gwarancję honoru Francuzów: „zapewnienie, że ta narodowość nie zginie (une assurance que cette nationalité polonaise ne périrait pas)." Prawda, wtedy już w izbach przez trzy prawie tygodnie toczyły się spory o ten dopisek. Lafayette i obrońcy naszej sprawy zamiast słowa *assurance* pragnęli postawić jako więcej dobitne *certitude*, niewątpliwość. Lecz większość przemogła za *assurance*. Wszelako i to zdawało się dawać niejakie zapewnienie, że w obec rządowego stronnictwa prawa nasze nie będą zapoznane, że synom Polski nie nałożą żadnych krzywdzących obroży, korzystając z ich położenia tułaczego.

Sama nazwa komitetu narodowego nie podobała się wielom. Morawski i jego stronnicy odmawiali stanowczo tej nazwy po swojem wyjściu z komitetu. Nazwy polskiego komitetu odmówić było niepodobna, składali go bowiem Polacy; ale po co narodowy? — zapytywały dyplomatyczne niedoczyny. — Jak mogą nazywać narodową instytucję postawioną nie przez rząd narodu, a rząd (z prezesem Czartoryskim i wice-prezesem Niemojowskim) nie stawił tego komitetu, wybrali go sami wychodźcy powszechnem głosowaniem. Staczając jednakże walkę ze swoimi już choćby nawet o imię, Komitet narodowy od razu wszedł w stosunki z komitetem centralnym polskim, który od tego czasu począł się nazywać *franko-polskim komitetem*.

Zbliżała się pierwsza rocznica listopadowego powstania. Jeszcze w Warszawie 1831 roku towarzystwo patrjotyczne święciło rocznicę rewolucji lipcowej, 27 lipca, w sali ozdobionej trójkolorowemi chorągwiami i herbami, a pełne uniesienia dla Francji zabierali głosy Joachim *Lelewel*, Cyryl *Grodecki*, Jan *Czyński*, J. B. *Ostrowski* i ksiądz Kaz. Al. *Pułaski*; *Potier* zaś przy wtórze orkiestry śpiewał marsyljankę i paryżankę (*marseillaise* et *parisienne*). Cóż więc dziwnego, że ci sami tułacze w Paryżu zechcieli dochodzić świetnie rocznicę własnego powstania.

Mochnacki Maurycy w broszurce *„rocznica 29 listopada"**)* powiada, że „według życzenia polskich wygnańców szanowny Lafayette, prezes komitetu francusko-polskiego przedsięwziął uczcić obchodem uroczystym pamiątkę nocy 29 listopada." Chciałem dzień ten podnieść do godności święta narodowego dla tem większego rozgłosu. „Atoli prezes tymczasowego komitetu polskiego w mądrości i głębokości polityki swojej co innego uchwalił. Oświadczył on Lafayettowi imieniem Polaków będących w Paryżu: *„Że my żadnego politycznego celu nie mamy, a tem samem nie możemy obchodzić rocznicy 29 listopada.* Powiedział to z urzędu w obec najstarszego syna europejskiej wolności, towarzysza i przyjaciela Waszyngtona! Powiedział to w obec prezesa komitetu amerykańskiego i jego członków, tudzież wielu innych cudzoziemców, których te wyrazy nie małem napełniły zdziwieniem." Wypadek ten oburzył Lelewela zarówno jak i wszystkich twórców nocy listopadowej. Jako wyrzut sumienia narodowego służy broszurka Mochnackiego dowodząca że „nie wszystko dygnitarze kaliscy powinni spuszczać na swe głowy swojej." To też Mochnacki z całym zapałem i oburzeniem pisze: „My zgadujemy przyczynę, my, którzy lepiej znamy niżeli Lafayette, niżeli Lelewel i Amerykanie charakter, loikę i sposób widzenia rzeczy nie tylko prezesa tymczasowego komitetu (Niemojewskiego), lecz wszystkich razem zwolenników jego wiary. Noc 29 listop. zubożała skutkiem wielkich przygód. Nie ma już nic do rozdania."

„Na zasadzie tej nocy bohaterskiej i w jej imieniu nie tak prędko powstanie rząd narodowy, któryby znowu wielki świat kaliski mógł trząść i wichrzyć podług upodobania."

„Oto teraz skazana na wygnanie tuła się razem z nami po świecie! Przetoż ex-prezes (Czartoryski), i ex-wiceprezes rządu polskiego (Niemojewski Bonawentura), ex-minister skarbu (Biernacki Alojzy) i ex-minister spraw zagranicznych (Morawski Teodor), zważywszy, że nieszczęście rozbiło urok tej pięknej pamiątki i jej wielką potęgę na ojczystej ziemi w nic rozwaliło, rozproszyło, nie chcą jej oddać powinnego hołdu w obcym kraju. I w rzeczy samej, po co się kłaniać biedzie?"

„Tak myślą ludzie, których noc 29 listopada wywołała z nicości, którym z kolei rozdawała tytuły i urzędy, chociaż w niej nie mieli żadnego udziału! Chociaż jej sobie nie życzyli, bo wybiegła z granicy ich pojęć i z okresu ich doktryn, Chociaż jej nie ufali, bo w swoim czasie była straszna i niebezpieczna."

Przyczyną główną wystąpienia z komitetu tymczasowego polityków rządowych było to zajście. Trzeba było jednak naprawić błąd wyszły, że „potajemnie i jawnie usiłują przekonać największych przyjaciół Polski w Paryżu, p. Lafayetta, Maugena, Odillon-Barrot, o niestosowności rzeczonego obchodu, o potrzebie unikania wszelkiego pozoru politycznego i t. d." Dla tego to powstała odrazu myśl zebrania adresu od wszystkich Polaków bawiących w Paryżu do Lafayetta, w nim wszyscy, oprócz tylko kilku niepodpisanych przemawiali *): „Złączeni temi samemi uczuciami braterstwa i zamiarami około ołtarza naszej ojczyzny w żałobie, nie możemy zostawić niepostrzeżonym dzień rocznicy rewolucji polskiej 29 listopada..... Słońce lipcowe nie świeciło jeszcze na widnokręgu Francji; płomienie wolności polskiej, zapalone w nocy 29 listopada nie błyszczały jeszcze na równinach naszej starej rzeczpospolitej; a najbardziej oburzająca tyranja jeszcze ciężyła nad naszą ojczyzną, gdy 12 lutego 1830 w dzień rocznicy 84 narodzin Kościuszki raczyłeś jenerale przyjąć hołd naszych rodaków, bawiących wówczas w Paryżu". Wtedy to Lafayette powiedział: „Wam należy żyć nadzieją, a wasz duch narodowy, coście go przechowali mimo wszelkie zawady, pewnego dnia stanie się zbawieniem waszej ojczyzny." Zawdzięczając rodacy w 31 roku chcieli podziękować za te słowa na obchodzie rocznicy listopadowej **). Prezes centralnego komitetu przyjąwszy zaprosiny i odpowiedziawszy z grzecznością prawdziwie francuską, jadąc na obchód zabrał z sobą swego adjutanta i wsparty na jego ramieniu wszedł na salę na ulicy Taranne 12, o godzinie 7 wieczorem, w chwili gdy rok temu pierwej o tej samej porze rozległy się pierwsze strzały pod Belwederem. Lafayette miał na sobie mundur pierwszego grenadjera gwardji narodowej polskiej, podobnież jak i Chodźko, i przybyciem swem otworzył posiedzenie.

Chorągwie polskie, francuskie i amerykańskie zdobiły ściany i powiewały nad herbami i wizerunkami ludzi wieku. Chodźko zaś złożył na ręce prezesów komitetów centralnego i amery-

*) Les polonais dispersés en Europa. Statuts du comité national polonais.

*) Datowana w Paryżu 25 listopada 1831.

*) Premier anniversaire de la revolution national de la Pologne célébré à Paris.

**) Na kilka dni przedtem podobno Gurowski dał wiedzieć policji, że Chodźko należy do konspiracji mającej na celu osadzić na tronie późniejszego cesarza Napol. III. L. Chodźko natychmiast był uwięziony. Lecz nie znaleziono nic takiego coby go mogło kompromitować i rano 29 listopada uwolniono.

kańskiego adresy z podpisami prawie wszystkich Polaków bawiących w Paryżu. (Hau) *Howe* poźniej przesłał ten adres Stanom zjednoczonym, gdzie zawieszony jest w sali obrad w Waszyngtonie. Adres był pisany na papierze z grawiurą wyszłą z rylca Antoniego Oleszczyńskiego. A mieściła ona wizerunki: Pułaskiego, Małachowskiego, Kościuszki — jako symbolami odradzającej się rzeczpospolitej, Dąbrowskiego, Czackiego, Śniadeckiego, Poniatowskiego i Bielińskiego — symbolu olbrzymich prac narodu po rozbiorze walki orężnej z zaborcami pod chorągwiami ojczystemi lub obcymi, nareszcie Lafayetta, Washingtona i Jeffersona — symbolu braterstwa ludów dwóch półkuli.

Krótka była mowa Lafayetta. „Komitety francuski i amerykański, zbierają pierwszych z naszych braci wygnanych, którzy przybyli do tej stolicy. Być może, że ziemia gościnna i współczująca Francja stanie się dla nich drugą ojczyzną, a chlubne dla nas to usynowienie ich nie zmusza stracić cośkolwiekbądź z narodowości, co przez wszystkie czasy będzie ich chwałą i ich zbawieniem!“...... „Czyż nie wam, Polacy! zawdzięcza Europa, a przedewszystkiem Francja ochronienie od najazdu armij północnych. Lecz nie tutaj, ale z trybuny narodowej francuskiej wypada mi wyrazić z tego powodu wszystkie najrozmaitsze owe uczucia napełniające me serce.“ Była to zapowiedź przyszłych walk parlamentarnych o naszą sprawę tylekrotnie później ponawianą.

Lecz może jedną z najważniejszych była mowa J. Sam *Howe*, prezesa komitetu amerykańsko-polskiego. Miał on obowiązek w Warszawie wręczyć walczącym adres Stanów zjednoczonych i przepyszne chorągwie, co powinne były powiewać nad zwycięzkimi legjonami obrońców wolności narodowej. Teraz ten adres już zapóźno było czytać w Warszawie, śród tysięcy ludu w zachwycie patrzącego; S. G. Howe zatem przeczytał od miast *New Jorku* i *Bostonu*, w obec garstki ludzi bez przytułku. U wolnego amerykańskiego republikanina głos brzmiał, wskazując na chorągwie:

„Chorągwie te przeznaczone były do powiewania w środku polskich pułków, te adresa powinne były być czytane w Warszawie, składki te przeznaczono dla wdów i dziatwy bohaterów zmarłych za ojczyznę; lecz jakież smutne przeciwieństwo! Zmuszeni jesteśmy złożyć chorągwie do grobu Polski; nasze adresy czytamy w obliczu garstki walecznych, którzy uchodząc od katowskiego miecza, szukają gościnności na obczyźnie. A nasze młodzieńce, co się wybierają iść na obronę Polski, muszą schować swe szable do pochew oczekując aż godzina zemsty wydzwoni. Mężni Polacy! ta godzina wybije! Wasza ojczyzna będzie swobodną i nie tylko wasza, lecz również wszystkie kraje, które obecnie jęczą pod ciężarem ciemięzców. Rozum postępuje olbrzymiemi kroki, i zatrzymać go niepodobna; naprożno otaczają Moskale dyplomację, niech im przeciwstawią mur spiżowy. Ponieważ narody mają prawo rządzić sobą wedle upodobania; one mają prawo zmusić tych *których używają i którym płacą za sprawowanie rządów Państwa, do kierowania budowy wedle ich upodobania;* ztąd nie znoszą one długo gdy się sprzeciwiają ich woli.“

W długiej swej mowie odpowiadał na to nasz zacny historyk *Lelewel*, jako prezes komitetu narod. Treść tego przemowienia jest ta, że:

„Jeżeli z przeszłości wolno jest wnioskować o przeszłości, to narodowość polska powinna spodziewać się, że chwila jej odbudowania niedaleka.“

Po Lelewelu zabrał głos wierszami Nepomucen *Lemercier*, przedstawiając jakby bezbożność naigrawania się carskiego depeszą *l'ordre règne dans Varsovie.* „Ach! wy co męczennikom zapowiadacie smutek, patrzcie na krew, płacz, napełniające mury miasta zmienionego na niemą trumnę, gdzie żelazo kata zastępuje ołów bitew; porównajcie resztki i wzajemne ciosy: i narody czy też królowie są okrutniejsi? Boją się *propagandy* w imię praw zasianych, a czy boją się uzbrojonej w imie Boga *propagandy* absolutnych tyranów, biczów rodu ludzkiego, prawdziwych rzeźników wojsk kupionych z rąk do rąk? Stary jest despotyzm, szkarada jest głęboko; wolność zaś młoda postępuje i nad nim tryumfuje. Z hydry feodalnej precz głowo nieczysta! Przeciwko fałszywego prawa bożego twą oporą sam Bóg. Czy zostaniemy na zawsze niewolnikami lub dziś jeszcze zwyciężcami — walczmy, a jeżeli prawo się oprze na równości, wtedy zapanuje spokój; gdy zbrodnia ucieknie, porządek zapanuje na świecie!“ Woła jedna z 4-ych strof tego pięknego utworu, zakończonego: „krew którą Wisła toczy w swych nurtach przez długi czas będzie wołała zemsty! A sprawa wolności uzbroi dwa światy!“*)

Mówiłem już, że na tym obchodzie Chodźko wręczył dwa adresy, podpisane przez wszystkich prawie obecnych w Paryżu Polaków, Lafayetto wi i do narodu Stanów zjednoczonych Ameryki. Sprzeciwała się temu owa nasza dyplomatyczna klika dławicieli powstania.

Pieniądze amerykańskie poszły na wsparcie wychodźcom, a za kilka dni później pisał komitet Brukselski złożony z de *Mérode* prezesa, L. *Jottrand* i *Lestroussard* zastępców, *Ducpétieau* i *Nicolay*, zawiadamiając o rozdawaniu wychdźcom koniecznych zapomóg: dziennego utrzymania, odzienia, medycznych pomocy i że „nic im nie braknie“.

Podkomitet w *Verviers* przyjmował Polaków i bezpłatnie wysyłał do *Liège*, ztamtąd do *Brukselli* i w kierunku *Valenciennes.* Pragnąc zaś odrazu ulżyć nędzy podoficerów i żołnierzy odsyłano do *Ath*, gdzie pułkownik Achiles *Murat* przyjmywał ich do legjonu zagranicznego. Dzienniki belgijskie z najwyższym zapałem podniosły sprawę pomocy i śmiało można było pisać: „komitety brukselski i lieżski mają w swem ręku wszystko co tylko im potrzeba ze środków pieniężnych dla wypełnienia założonej sobie missji.“

We Francji przez franko-polski komitet delegowani: *Cerfberr, d'Herbelot, Lasteyrie, Montebello, Taschereau* i *Ternaux* (z 13 grudnia 1831) objawiają o loterji fantowej na korzyść Polaków, wzywają w adresie do kobiet francuskich o przychodzenie z pomocą. „.....Liczne panie myślały, że loterja złożona z przedmiotów wyszłych z pod pędzla, ołówka lub rylca naszych głównych artystów i tych robót, które się dokonywują ręką kobiecą, będzie szybko dokonana przez ich dobroczynną przemyślność. To czynne zajęcie się jest mocnem zapewnieniem wrażenia powszechności“.... A wtedy już komitet centralny przedstawiał zebranych 520.000 fr. od początku założenia. Pozostałe więc zapasy stały się jakby pierwszą sumą na opędzenie koniecznych potrzeb przybywających.

(C. d. n.)

*) Compte-rendue des operation du comité et de l'emploi des fonds.

Piśmiennictwo francuskie.

Histoire de la Russie przez p. *Alfreda Rambaud; Histoire de la Litterature contemporain chez les Slaves*; przez p. *C. Courrière; Histoire de l'Autriche-Hongrie* przez p. *Ludwika Léger.*

(Ciąg dalszy).

Pod jarzmem tatarskiem losy dwóch narodów rozchodzą się. Ruś wyzwala Litwa. Pan A. R. wyzwolenie to, zgodnie z historykami moskiewskimi, piszącymi dzieje *po ukazu*, nazywa podbojem, nie biorąc na uwagę tego, że jeżeli Rurykowiczów zastąpili Giedyminowicze, to nie w innym sensie i nie w innem znaczeniu, jeno w takiem, w jakiem we Francji np., Merowingów zastąpili Karlowingowie i tych ostatnich Kapetyni. Na zastępstwie tem naród zgoła nie poniósł szkody. Ruś Rusią pozostała i była tem samem pod panowaniem Giedyminowiczów, czem była pod rządami Rurykowiczów. Co więcej, Giedyminowicze zruśili się—państwo litewskie w istocie swojej ruskiem się stało i jako takie przystąpiło do federalnego z Polską związku, łącząc się nie z Moskwą obcą a z narodem pobratymczym, wchodząc w skład państwa, w którem Polanie z nad Dniepru odnajdywali Polan z nad Warty i zyskiwali możność rozwijania życia narodowego samoistnie.

Związek ten, o którym autor nasz od niechcenia i z lekceważeniem wspomina, olbrzymie miał znaczenie nie tylko dla Polski, nie tylko dla Litwy z Rusią, ale dla Słowiańszczyzny całej, która w momencie owym zagrożoną była ze wszystkich naraz stron i nigdzie skutecznie czoła stawić nie mogła. Bółgarja i Serbja już runęły były, resztę zaś Słowiańszczyzny południowej rozebrali pomiędzy siebie Węgrzy, Włosi i Niemcy. Czechom położenie ich geograficzne nie wróżyło oporu skutecznego. Polska pozostawała bezpośrednio pod naporem Niemców, którzy sposobili się do zadania jej ciosu stanowczego. Groza momentu dziejowego była olbrzymią. Słowiańszczyznie chodziło śmierć o lub życie. Zagłada słowiańskiego świata nastąpić by musiała nieochybnie, gdyby Niemcy mieli do czynienia osobno z Polską, osobno z Litwą. Pan A. R., podnosząc wysoko znaczenie Rosji w obec Słowian, nie rozumie tego i bój pod Grunwaldem opowiada jak wypadek sławny, ale nie mający doniosłości szczególnej. Powtórzymy opowiadanie jego, dla dania miary usposobienia autora względem historji polskiej.

„Gdy Witold począł dźwigać się po klęsce tej (nad Worsklą), zwrócił, przeciwko zakonowi teutońskiemu wyprawę sławniejszą jeszcze. Wielki książę litewski nieraz miewał zajścia z dwoma rycerstwami niemieckiemi. Zakon teutoński w epoce owej, dzięki rozwojowi systemu lenu i postępowi miast handlowych, stracił był dużo ze swojej energji pierwotnej. W 1409 powstały Żmudzie Pruss wschodnich, zaprotestowawszy przeciwko twardości jarzma i licząc na pomoc Witolda. Nowy mistrz wielki, wojowniczy Ulrych z Jungingen, odmówił medjacji króla polskiego, zwierzchnika Witolda. Wówczas siły połączone Polski i Litwy, z 40,000 tatarów i 21,000 wojowników żżołdowanych z Czech, Węgier, Morawii, Szląska, razem 97,000 pieszych, 66,000 jezdnych i 60 dział, weszły do Prus. Wielki mistrz nie mógł przeciwko nim postawić, tylko 57,000 pieszych i 26,000 jezdnych. Bitwa pod Tannenbergiem (1410), głównie wygrana przez

Witolda, który rozbił skrzydło lewe i środek Niemców, złamała na zawsze potęgę Teutonów. Wielki mistrz i wszyscy prawie wysocy dygnitarze, 200 rycerzy zakonnych, 400 rycerzy cudzoziemskich i 4000 żołnierzy pozostali na polu bitwy. Wszyscy prawie książęta Rusi zachodniej wzięli w spotkaniu udział: kontyngiens smoleński odznaczył się szczególnie. Żmudź wyzwolona z pod panowania niemieckiego, przyłączoną została do Litwy.“

Opowiadaniu temu brak jednej rzeczy, a to: prawdziwości. Według świadectw do faktu tego odnoszących się, bitwę rozstrzygnęli Polacy. Główne siły bojowe stanowili Polacy i Rusini; wojska najemne składały się z Czechów, Szlązaków i Morawian, a także i z Węgrów, posiłkowe z Tatarów; Moskali nie było. Moskwa ani bezpośrednio, ani pośrednio nie wzięła udziału w rozprawie, która rozstrzygnęła przyszłe Słowiańszczyzny losy.

Nie było jej ani nad Kałką, ani pod Grunwaldem.

Konsolidowała się pod jarzmem tatarskiem kształtowała byt swój państwowy, w odniesieniu do którego tatarskie jarzmo było dla niej dobrodziejstwem ogromnem, w następstwach swoich doniosłości niezmiernej. Stało się ono rodzajem cieplarni, w której dojrzała potęga władzy książęcej. Dzięki onemu pierwiastki owe słowiańskie swobody społecznej, jakie zanieśli śród plemion turańskich wychodźce koloniści z Nowogrodu i z nad Dniepru, zniszczonemi zostały do szczętu. Nie pozostało po nich śladu najmniejszego. Niewola zapanowała, nie tatarska, ale rządowa — książęca.

Pan A. R. następstwo to, któremu nie przeczy, przypisuje wpływowi nie tyle tatarskiego jarzma, co przykładów bizantyjskich. Autokratyzm — według niego — do Moskwy przyszedł ztamtąd, za pośrednictwem religji prawosławnej. To pewnik. Kościół prawosławny, zależąc całkowicie od panującego, był i jest powolnem w ręku władzy narzędziem. Na Rusi jednak, na gruncie słowiańskim, nie doprowadził on do tych, co w Moskwie następstw; pierwiastki swobody słowiańskiej utrzymały się tam mimo wpływu bizantyjskiego, w niektórych zaś miejscach, jak np., w Nowogrodzie, i Pskowie, zneutralizowały wpływ ów całkowicie. Książęta nie śmieli się targać na nie. Władzę ich kontrolowały i powściągały wiece narodowe, z któremi, chcąc nie chcąc, liczyć się musieli. Na moskiewskim gruncie rzeczy od razu inny wzięły obrót. Przed najściem jeszcze Tatarów książęta opanowali naród i jarzmo tatarskie posłużyło im dzielnie do uzupełnienia opanowania, do ugruntowania władzy, do zamienienia ludu całego od góry do dołu, od bojara do smerda, w *chołopów*, w *rabów*. Bardziej dokładnej niewoli znaleźć chyba nie sposób ni gdzie, przepatrując dzieje powszechne od początku do końca. Wydoskonaloną ona została pod jarzmem tatarskiem, które do zarządu wewnętrznego mięszało się o tyle, o ile chodziło o pobór daniny, wydzierżawionej zrazu Chiwińcom, następnie wielkiemu księciu moskiewskiemu. Wielki książę miał na usługi swoje baskaków i duchowieństwo — pobierał daninę i niewolił naród.

„Około Moskwy — słowa pana A. R. — kształtowała się ostatecznie pod jarzmem mongolskiem rasa zrezygnowana, cierpliwa, energiczna, przedsiębiorcza, uzdolniona do znoszenia złego i korzystania z dobrego losu, która z kolei rzeczy powinna była wziąć górę nad Rusią zachodnią i nad Litwą. Tam urosła dynastja książąt politycznych i wytrwałych, roztropnych i bezlitośnych, smutnej i strasznej miny, naznaczonych na czole piętnem fatalizmu. Byli oni fundatorami imperji rosyjskiej, jak Kapetyni monarchji francuskiej.“

Zauważymy tu, że w ogóle autor nasz lubi porównywać momenty historyczne rosyjskie z momentami historycznemi francuskiemi. Porównania te, wyrażające się za pomocą podobieństw osobistości i faktów, mogących być z równą słusznością wyszukanemi w historjach francuskiej i dahomejskiej, snują się nieprzerwanie przez książkę całą. Włodzimierz św. i Jarosław wielki to Klowis i Karloman; książęta moskiewscy to Kapetyni; bitwa nad Kałką to Crécy i Poitiers, i t. d.; nie powiedział wszakże, że bitwa pod Tannenbergiem była dla Słowiańszczyzny tem samem, co zwycięztwo Karola Martela nad Saracenami. Z historją polską obchodzi się bardzo od niechcenia: daje np. Polsce króla Włodzimierza (str. 156) panującego przed r. 1501, o którym my nic nie wiemy. Dzieje Polski nie powinny by być obcemi historykami piszącemi dzieje Rosji.

Trudno nam iść za panem Rambaud krok w krok i notować gwałty, jakie on zadaje historji, wkładając ją przemocą w ramy tendencji, zaznaczonej z góry. Jest to na odwrót wzięty Michał Bobrzyński, piszący historję władzy monarszej.

Odwrotność polega na tem, że autor *Dziejów Polski w zarysie* dużo znajduje do ganienia, autor zaś *Historji Rosji* wszystko chwali, co się do przedmiotu jego odnosi. Na naganę tego ostatniego narażają się zdarzenia, brzemienne szkodliwością rozwojowi władzy. Nowgorodzianie, według niego, zdradzali ojczyznę, oddając się pod opiekę Kazimierzowi Jagiellończykowi, garnąc się do Rusi słowiańskiej, broniąc swobód narodowych. Chwali książąt moskiewskich, za to że nie znajdowali się z Witoldem w boju nad Worsklą i sławi wysoko zwycięztwo Dymitra Dońskiego na Kulikowem polu, przyrównując zwycięzcę do Ludwika IX lub Jana Dobrego. Zwycięztwo to nie wyzwoliło Moskwy z jarzma tatarskiego. Wyzwolenie nastąpiło później, samo przez się, dzięki nie potędze władzy książęcej a słabości hordy, którą w połowie wieku XV szarpać poczęły niezgody wewnętrzne. Bój ostatni o wyzwolenie stoczony jest charakterystyczny. Armja moskiewska pod wodzą Iwana III wyciągnęła w pole i stanęła u zbiegu rzek Oki i Ugry, w obliczu armji tatarskiej, zajmującej brzeg przeciwny. Dwie armje stały jedna naprzeciw drugiej przez tygodni kilka, rozdzielone wodą, przeszkadzającą spotkaniu — wkońcu, gdy przeszkodę tę natura usunęła za pomocą mrozu, jedną i drugą objął postrach paniczny i obie uciekły. Wypadek ten służy panu R. do przyrównania Iwana III do Ludwika XI. *Ivan III avait eu comme Louis XI sa bataille de Montlhéry.* Jarzmo rozlazło się; Moskwa znalazła się wyzwoloną, z urzeczywistnionym na czele swojem ideałem władzy pana M. B.

Po dokonaniu się wyzwolenia tego „Litwa — powiada p. A. R. — pozostawała zawsze wielkim wrogiem. Państwo to składowe odegrywa w historji Rossji rolę tę samą, co w naszej (francuskiej) Burgundja Filipa Dobrego i Karola Zuchwałego. Zformowane z populacji ruskich, jakoteż z populacji polskich i litewskich, o mało kilkakrotnie nie znicestwiło Rossji, tak samo jak Burgundja, złożona z populacji francuskich, jakoteż z prowincji niemieckich lub batawskich, o mało nie zniszczyła narodowości francuskiej. Litwa przylutowała się do Polski, jak stany Burgundzkie, na nieszczęście nasze, przylutowały się do domu Austrjackiego“.

„Kazimierz IV. — powiada dalej — w początkach panowania Iwana III. był monarchą państw złączonych i nie zaniedbywał niczego w celu niepokojenia wielkiego księcia.“ Niestety, tak nie było. Rzecz działa się odwrotnie. Niepokojenie szło od wielkiego księcia, który korzystając z tego, że Jan Albert został królem polskim a Aleksander wielkim księciem litewskim, wydał pod pretekstem pierwszym lepszym, temu ostatniemu wojnę, dzięki której pomknął ku zachodowi granice państwowe. Autor nasz, rzecz prosta, nazywa to „rewindykacją“ oderwanych od Rossji krain. Rewindykacja tego rodzaju odbywała się we wszystkich kierunkach, gdzie się jeno co zachwycić dało i dla niej to Iwan III., jak skoro spadło zeń jarzmo tatarskie, natychmiast wziął na siebie rolę spadkobiercy imperatorów bizantyjskich. Pochodziło to ztąd, że był autokratą, samowładzą, w najrozleglejszem wyrazu tego znaczeniu. Nieograniczona władza daje nieograniczone pożądania. Nie z innej racji Aleksander Wielki *rewindykował* Persję, Indje, Egipt. Władza nieograniczona nie czyni w sensie zaborczym czego innego, jeno „rewindykuje“ wszystko co może. Od Iwana III. rzekomego spadkobiercy cesarzy bizantyjskich, którzy uważali siebie za panów świata, i spadkobiercy istotnego hanów tatarskich, którzy także same mieli o sobie mniemanie, rozpoczęła się ta czynność rewindykacyjna, wynikająca bezpośrednio z natury władzy, wyhodowanej i dojrzałej pod opieką tatarską. Jarzmo tatarskie jest to punkt wychodni wielkości Rossji, jest to największe dla niej, jako dla państwa dobrodziejstwo. Wyszła ona z niego uzbrojona od stóp do głowy w wolę jedną u góry i w posłuch ślepy u dołu, i zamanifestowała odrazu nienawiść nieubłaganą dla Polski.

Nienawiść tę pan A. R. przedstawia w znaczeniu zadania politycznego, któremu trojaki nadaje cel: zjednoczenie Rusi czyli preponderencję w świecie słowiańskim, odwet za dwuwiekową niewolę tatarską i wprowadzenie Rossji do rzeszy narodów europejskich.

Cel pierwszy stał się powodem antagonizmu pomiędzy Moskwą a Polską: z państw tych jedno pochłonąć musiało drugie.

Cel drugi wyraził się pod postacią podbojów w Azji i polityki wschodniej, skierowanej przeciwko Turcji, która aczkolwiek Moskwy w jarzmie nie trzymała, lecz wyznaje religję tę samą, jaką wyznawali Tatarzy.

Cel trzeci polegał na opanowaniu wybrzeży mórz Bałtyckiego i Czarnego i sprowadził wojny ze Szwecją.

W ten sposób tłumaczy Rossję pan A. R. czytelnikom swoim. Jestto tłumaczenie *a posteriori*, zamiast którego dać można inne racjonalniejsze, naturalne i z prawdą zgodne. Polityka Rossji poczęła się i rozwijała ściśle według reguł, którym podlegają mocarstwa, sformowane przez i dla władzy najwyższej. Historja rzecz tę wyjaśnia dokładnie tak w starożytności, jak jak w czasach najnowszych. Władza najwyższa bardziej „najwyższą“ jak w Moskwie nie była nigdzie. Pan A. R. sam to uznaje. „Moskwa —

powiada — dzięki tym zapobiegliwościom zazdrośnym (mowa tu o niedopuszczaniu przez rycerzy inflandzkich, Polaków, Szwedów i Duńczyków stosunków Moskwy z Europą), dzięki oraz nienawiści Rossjan do *muzułmanów i heretyków* zachodnich, pozostawała tem, czem ją uczyniły najścia tatarskie, państwem azjatyckiem. Zarząd patrjarchalny starożytnej słowiańszczyzny i przykład monarchji wschodnich przyczyniły się do utrzymania w niej zasady despotycznej w całej swojej sile. Car był zarazem ojcem i panem poddanych, absolutniejszym aniżeli hanowie tatarscy lub sułtan konstantynopolski. Osoby i mienie poddanych były własnością jego; najwięksi panowie, książęta z rodu Ruryka, byli to jego niewolnicy, *chołopi*. Petycja nazywała się po rossyjsku „biciem czołem„ *(czełobitie)*. Dygnitarze państwowi podpisywali się na suplikach nie imieniem swojem, Iwan lub Piotr, lecz imieniem lokajskiem, serwilistycznem, zdrobniałem, Wania lub Pietruszka. Bizantyjska formuła: „Czy mogę mówić i żyć?“ odnajdowała się w następującej: „Nie każ mnie karać, rozkaż mi słowo rzec.“ „Zbliżam się do cara z drżeniem“.. itd.

Mogłoż państwo takie, z Polską o miedzę sąsiadujące, nie nienawidzieć Polski, powstałej i rozwijającej się na zasadach wręcz przeciwnych? (C. d. n.

ZGON WESTALKI.

Monolog tragiczny w I akcie.

przez

BRUNONĘ R.

(Ciąg dalszy.)

Jak błogo śniłam, sny te nie codzienne,
Udziałem tych są, co umierać mają.
One na losy, smutne, nieodmienne,
Mglistą zasłonę wspomnień zarzucają.
One z przyszłością przeszłość połączyły,
I zapomniawszy o dzisiejszych losach
Tylko pożegnań echo im rzuciły
I w wieczność wiodą na pamiątek włosach.
O mój jedyny, ciebie to widziałam
W nadziemskich świateł różnobarwnem kole.
Jak to ty byłeś, takim Ciebie znałam.
Gdy mnie ujrzało oko twe sokole,
I matkę moją tam widziałam smutną,
Co mnie w podziemnym wyprzedziła świecie,
Idę do Ciebie, ale wprzód okrutną
Śmierć poniość musi twoje biedne dziecię.
O matko, matko, twoje łzy litośne,
Jak balsam spadły w myśli poplątane,
Ach takie ciche były i żałośne —
Tak sercu drogie — łzy te ukochane.
I ojciec stanął ztamtąd niedaleko,
A choć z letejskich źródeł pił przed laty
Zabolał srodze, żal skrył pod powieką
I matce podał pocieszenia kwiaty.
Wy tam już wszyscy, wy, kochani moi,
Oprócz jednego; gdyby nie ta sroga
Śmierć, której słabe ciało tak się boi,
Możebym w zgonie nie widziała wroga.
(patrzy na lampę)
Już lampa gaśnie, jej światełko ciche,
To mój przyjaciel, żal mi tej drobiny
Co życie swoje tu zakończa liche,
I tak umiera jak i ja bez winy.
Głód i pragnienie życia mnie pozbawią,
Spojrzyj gwiazdeczko i twój los podobny,
Gdy tę oliwę twe ogniki strawią
Zagaśniesz tęskna, jako jęk żałobny.

(dolewa oliwy)
A co się wtedy stanie tutaj ze mną,
Smutną, samotną, wśród jaskini mroźnej,
Gdy widzieć będę tylko chmurę ciemną
I czuć dotknięcie śmierci takiej groźnej.
Ach jak mi smutno, jaka mnie tęsknota
Porywa dzika, wspomnień wirem drżąca;
Młodość ma szczęściem się budziła złota
I wstała wielka i miłością wrząca.
A dziś ja smutna tutaj i złamana,
Jak gdybym żyła na tym świecie wieki,
Ach, bo mi boleść każda dobrze znana,
Od godzin kilku tej piekielnej spieki.
Gdybym powrócić mogła choć na chwilę
W mojej młodości przecudowne życie,
Co takie jasne było jak motyle,
I tak upadło w pełnym swym rozkwicie.
Gdybym usłyszeć mogła jedno słowo
Takie jak niegdyś słodkie i pieszczone,
Gdybym zobaczyć mogła dziś na nowo
Te oczy jasne, ku mnie obrócone.
Gdybym uchwycić mogła tu westchnienie
Takie, jak niegdyś ciche i spokojne;
Bogowie, dajcie sercu jedno drżenie
Z tych co w mej duszy takie były hojne,
Jedną mi łezkę wróćcie z tych co były
Odblaskiem szczęścia i radości datkiem,
Z tych co tak w mojem oku się perliły,
Jak kropla rosy, wznosi się nad kwiatkiem.
Gdyby choć z cierpień które się wróciło,
Z tych cierpień dawnych, morzem łez oblanych,
Ha, może serce, dzisiaj by odżyło
Tchnieniem powietrznem żalów zapomnianych.
Lżejby mi było gromy znieść na świecie
Niż tutaj cierpieć, czuć jak każdej chwili
Śmierć coraz srośsze losy dla mnie plecie
I jak się wszystko, by mnie zgubić, sili.
Nie, już nie wróci żadna szczęścia zorza,
Żaden mi uśmiech tutaj nie zapłonie,
Nic mnie nie wyrwie z bezbożnego morza,
W którem me życie coraz głębiej tonie.
Nigdy już, nigdy, nigdy — dziś rozumiem
Ja słowa tego przeraźliwe dźwięki,
Nigdy już nigdy — dziś powtórzyć umiem
Wszystkie zawarte w tym wyrazie jęki.
Nigdy już dla mnie, opuszczonej strasznie
Nadziei świetna nie zabłysnie mara
Ani mnie radość ujrzy nim zagaśnie
Dzień, w którym moja się wypełni kara.
Ha! darmo wzywać waszej dziś litości,
Łaskawe bóstwa, co na lekkiej chmurze
Do szczęsnych ludzi podążacie w gości,
Wy dla cierpiących, w niedostępnej górze.
Tutaj dziś uczty dla was nie zastawię —
Lecz poczekajcie, może za godzinę,
Ze siebie samej, gody wam wyprawię,
Gdy w oczach waszych z głodu nędznie zginę,
I pocóż macie słuchać, jak tu płaczą,
Jak cierpień burza serce nam rozrywa,
Wszak wy, Bogowie, dla was nic nie znaczą
Te łzy dziecinne i ta boleść żywa,
Jak, wy potężni, wy umiecie płynąć
Zdala od ziemi, zdala od boleści,
Wy nieśmiertelni, wam nie przyjdzie zginąć,
Wam wolnym nędzy co się w zgonie mieści.
Więc precz z litością, to uczucie marne,
To biednych datek pełny życzliwości,
Ono nie dla was: niech przed wami czarne
Rozpaczy oko skryje swoje złości.
Dla mnie na cichem Elizejskiem polu
Nagroda będzie — nie chcę tej nagrody,
Bylebym wolna okrutnego bolu,
Użyć dziś mogła szczęścia i swobody.
Letejskiej wody, nie chcę pić tak młoda,
Gardzę tym zdrojem wiekuistych cieni,
Mnie dziś wystarczy ta źródlana woda,
Co płynie w kraju słońca i promieni.
(pije wodę)
Ach, jak te krople zimne i rzeźwiące
Przez żyły biegną i pragnienie gaszą,
Jak ochładzają czoło palające,
Które dziś mary takie groźne straszą.
Dzięki ci kroplo, kroplo dobroczynna,
Ty mnie uzdrawiasz, bo ty nie wiesz może,
Iż ludzie w koło głoszą, żem ja winna
I zginąć muszę nim zabłysną zorze.
Tyś jest rzecz martwa, nie wiesz co to sądy,
I równie błogą jesteś skazanemu
Jak tym co w ręce dzierżą świata rządy;
Usłużysz mile, zawsze i każdemu.
(patrzy na lampę której płomień drga — z okrzykiem)
Płomień umiera! — śmierć się tu w gościnę
Coraz to szerzej wciska i owłada
Każdą spotkaną życia odrobinę
I coraz głośniej jęczy przy mnie: biada!
Oliwy, drzewa! o na wszystkie Bogi!
Czemże ja wątły ognik ten rozświecę!
O nie umieraj przyjacielu drogi,
Jeszcze twe siły może dziś podniecę.
(szuka oliwy)
Niestety, darmo, nie ma ni kropelki,
A już się światło chwieje i ugina
I strach się w sercu mem rozszerza wielki,
I wszystkich zmysłów siły mi przecina.
Nie gaśnij zostań, błagam cię gorąco,
Błagam cię całą duszy mej potęgą —
(Klęka z rozpaczą)
Spojrzyj a tutaj ujrzysz mnie klęczącą,
Spojrzyj i litość miej nad taką męką.
(wstaje z żywością)
Już błyszczysz jaśniej, ogień się wysila,
Gwiaździste iskry rzuca w te ciemności,
Jeszcze twej walki jedna krótka chwila
I znów zapłoniesz, w całej wspaniałości.
(lampa gaśnie)
Cóż to? ciemności, więc to blask ostatni,
To pieśń pogrzebu, te światełka złączy —
O powróć do mnie mój promieniu bratni,
Ach! kto wypowie, jak ta noc mnie dręczy!
Może to oczy moje tak zamglone,
Że widzieć nie chcą światła, co tu płonie —
(przeciera oczy)
Nie, nie, już wszystko teraz jest stracone,
Wszystko w ciemnościach niezgłębionych tonie.
Jak tutaj próżno, w czerni, w tej bezdennej,
Dla mnie już nie ma światła ani cienia,
Śmierć tylko stoi w grozie nieodmiennej
I liczy piersi, wszystkie odetchnienia.
Niczyje serce dla mnie tu nie bije,
Nic w tej przepaści nie ma już mojego —
Bez światła, ciepła, jak umarła żyję,
Jako trucizną, tchem żywiona złego.
Gdzie moje sprzęty, smutne, opłakane,
Na których spocznę śmierci snem spowita,
Ledwie od kilku długich chwil poznane,
A jednak serce was przychylnie wita.
Chociaż wy zimne świadki mej boleści
To nic nie szkodzi, ja was kocham szczerze,
W was się przynajmniej żadna złość nie mieści
Bo wyście martwe, nieme, zatem wierzę.
(tuli się do nich rozpacznie)
(po pauzie)
Znałam ja starca — co ślepotą tknięty,
Wszystko utracił, co posiadał w świecie,

Radości wszelkiej cień mu był odjęty —
On nie rozpaczał — miał przy sobie dziecię!
Ono go wiodło, smutne, zadumane
I wiecznej nocy usuwało męki,
Dzieliło żale, jeszcze mu nieznane,
Swój ciężar bolu, biorąc z losów ręki.
Ach! szczęsnym byłeś — starzec i kaleka,
Ty miałeś dziecka, oczy i swobodę —
Odemnie, nędznej, wszystko już ucieka
I wszystko żywi, uczuć mych niezgodę.
Płomyku zgasłeś, z tobą zgasła złudna
Nadzieja życia, prysły me marzenia, —
Przedemną stoi jeszcze droga żmudna
A potem nicość bezsennego cienia.

(słychać lekki szelest i śpiew)

Co to za szmery, ciche, tajemnicze —
Ach to ptaszyna, w fałdy mojej szaty
Tu się zbłąkała, piosnki twe słowicze
Na śmierć mnie uśpią, jak powiędłe kwiaty.

(rzewnie)

Tyś mnie pożegnać przyszła, tyś posłanka
Słonecznej ziemi i promiennych nocy,
Śpiewaj twą piosnkę — biedna dziś wygnanka
Dźwięk łzą odpłaci — wszystkiem co w jej mocy!
Śpiewaj twą piosnkę, ona mi porusza
Jakieś uczucie, tak wilgotne łzami,
Ciche i miękkie, w którem ginie dusza
I świeci blado, swej tęsknoty skrami.

(płacze namiętnie, gwałtownie, następnie uspokaja się cokolwiek — długa pauza, ptak odlatuje).

(Dok. nast.)

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXII.

Rada czterech.

O tejże samej godzinie zgasili obaj przyjaciele światło w wspólnym swym pokoju, by myślano, że już zasypiają spokojnie, otworzyli cichuteńko drzwi i prześliznęli się przez wązki kurytarz do doktora Rocco, który ich był zaprosił. Potem równocześnie na palcach weszli do sanctissimum pani Tranquilliny i jej ujmującego małżonka.

Doktor Rocco był w najgorszym w świecie humorze, jak mu się to zdarzało dość często, a że nie mógł krzyczeć — coby ze względu na zdrowie tak chętnie był uczynił — wolał nie wydać żadnego dźwięku i porozumiewającym tylko uściskiem ręki powitał przyjaciół wskazując im krzesła.

— Spostrzegliśmy — rozpoczął Gioachino z niewinną miną zacierając sobie ręce — spostrzegliśmy, że Federico nie powrócił dotąd jeszcze do swego pokoju...

— Doprawdy? — spytała Tranquillina.

— Rzeczywiście... włóczy się po ogrodzie.

— Przynajmniej z jaką godzinę stał za szpalerem i patrzał w zamknięte okno Gabrielli— dodał Romolo.

— A okno czy też było choć zamknięte?

— Tak — odpowiedział filuternie Gioachino, poprzednio przecież było otwarte; Gabriella przez dobry kwadrans przynajmniej podziwiała księżyc.

Rozmawiając tak śledzili wciąż doktora, który przecież osłonił się okrutną togą milczenia.

— Dla mnie nie ma już najmniejszej wątpliwości — rzekł Gioachino po chwili — że Federico zakochał się na piękne.

— Tem gorzej dla niego — mruknął doktor całkiem niespodzianie — mógł był wcześniej o tem pomyśleć, teraz już zapóźno.

Obaj starzy popatrzeli wielkiemi oczyma; zdało się tajemne między niemi panować porozumienie, sądzili, że wszelkie przeszkody usunięte zostały podczas rozmowy na przechadzce a tu widocznie należało rozpocząć od samego znów początku.

Tranquillina rzekła z uśmiechem:

— I Gabriella, jak się zdaje jest na najlepszej drodze...

— Dokąd? — spytał doktor.

— Do zakochania się...

— Tem gorzej dla niej; mogła była pierwej o tem pomyśleć, gdyśmy czynili wszystko by ją doprowadzić do tego, teraz zapóźno...

— Daruj pan — ośmielił się zauważyć Romolo — myśmy obliczyli wszystko dokładnie i wiemy, że Federico po spłaceniu wszystkich długów będzie miał jeszcze przynajmniej...

— To wiem, nie o to tu chodzi zupełnie.

— A o cóżby innego? — spytała Tranquillina z uśmiechem.

— Ty przecież powinnabyś wiedzieć. Chodzi o to, że Gabriella nie jest już wolną. Dziś z rana zanim wyjechaliśmy oznajmiła temu niedołędze inżynierowi, że zostaje jego narzeczoną... Co wam też przyszło do głowy, żeby mi tego narwańca wprowadzać w dom? Śliczna przyszłość dla mojej biednej córki, nie ma co mówić, śliczna przyszłość! Obdarzać architekta dziećmi, które on zawsze uważać będzie, że nie są według jego planu.

— Dziś rano! — wyjąknął Romolo.

— Dziś rano! — powtórzył za nim Gioachino.

— A tak; dziś rano między siódmą a ósmą napisałem do tego nieszczęsnego list...

— A w tym liście?...

— W tym liście nazwałem go *zięciem! Zięciem,* czy wy rozumiecie? moim zięciem! zięciem, tego osła!

Niespodziana ta wiadomość sprawiła formalny popłoch; Tranquillina tylko pozostała spokojną i rzekła do Romola:

— A więc Federico i Gabriella poczynają się wzajem sobie podobać?

Nikt nie odpowiedział na to zbyteczne pytanie.

— Słuchajno, doktorze — rzekł Gioachino jakby nagle jakaś nowa myśl mu zaświeciła, czy wybaczysz jeśli ci podam pewien projekt.

— Czy ja wybaczę! — odpowiedział doktor uradowany; — mówże pan!

— Jeśli Federico i Gabriella pokochali się rzeczywiście, pożeńmy ich; inżynier wprawdzie będzie na to piorunował straszliwie, w końcu przecież będzie się musiał poddać konieczności...

— Ja z nim pomówię—przerwał Romolo; — skłonię go do dobrowolnego ustąpienia, będę dla niego swatem i poszukam mu żony innej, gotów jestem w koniecznym razie nawet powiedzieć mu kłamstwo, mianowicie: że są na świecie przecież piękniejsze dziewczęta—piękniejsze— nie, tego nie będę umiał mu powiedzieć...

— I po co, toby do niczego nie doprowadziło — przerwał mu doktor. — Gdyby tu chodziło tylko o inżyniera, natychmiast napisałbym tak do niego:

„Luby mój karnawałowy zięciu!

Pozwoliłem sobie względem Ciebie żartu, usprawiedliwionego porą ogólnej wesołości i zabawy; córka moja nie wie co z Tobą począć, zaślubia bowiem Federica. Zasyłam Ci najpiękniejsze ukłony.

Twój ex-teść."

Chodzi tu przecież o Gabriellę. A ta dziewczyna tak jest uparta, że skoro raz dała słowo inżynierowi, za każdą cenę go już poślubi; a gdy zostanie już jego żoną, ponieważ wie, że kochać go powinna, naprawdę się w nim zakocha a ten niedołęga pozwoli się jej uwielbiać i uważać za wzorowy okaz małżonka.

Doktor Rocco klął półgłosem; Tranquillina tymczasem zbliżyła się do wieszadła, na którym zawieszono zwierzchnie ubrania i poczęła szukać czegoś w kieszeniach wielkiego paltota.

— Tu jest ten list! — rzekła oddając mężowi z uśmiechem papier; to żeś go zostawił w kieszeni.

— A więc inżynier nic nie otrzymał! — rzekł Romolo.

— I Gabriella nic nie przyrzekła! — uzupełnił Gioachino.

Doktor Rocco namyślał się przez chwilę.

— Mnie się zdaje jednak, że ja tobie ten list oddałem, żebyś go posłała na pocztę. Jakimże więc sposobem został w kieszeni mego paltota?

Tranquillina uśmiechała się bezprzestannie i odpowiedziała:

— Mylisz się; owszem, przypominam sobie dokładnie, żeś go włożył do kieszeni i poleciłeś mi, bym ci przypomniała o tym liście; że jednak pamięć moja tak teraz osłabła... zapomniałam, no to przecież było właściwie twym zamiarem, nie przecz!... Mój mąż zażartował sobie z nas — ciągnęła dalej zwracając się do obu przyjaciół; — przekonaną jestem, że wiedział doskonale, iż list jest w kieszeni jego paltota. Napisał go oczywiście w myśli odesłania, potem wszakże przyszła rozwaga... no, zaprzeczże jeśli możesz.

Doktor Rocco uśmiechnął się skromnie, by nie przeczyć i tym sposobem okazał, że chętnie przenikliwość małżonki bierze na siebie; Romolo przecież pojął wszystko i pod stołem trącił silnie Gioachina.

Teraz dopiero przyszedł właściwy przedmiot pod obrady: jakby zrobić, by póty zostać u Federica dopókiby oboje młodzi nie stracili zupełnie głowy i sami widzieli, że nie ma innej dla nich rady nad małżeństwo.

Romolo, Gioachino i Tranquillina długo myśleli i nie mogli znaleść na to sposobu.

Doktor Rocco przez długą chwilę cieszył się ogólnem zakłopotaniem, wreszcie zawołał radośnie:

— Jutro przykuje mnie do łóżka podagra, pojutrze będę miał straszliwy reumatyzm stawowy i tak reumatyzm na przemiany z podagrą nie dozwolą mi czas jakiś ztąd wyjechać. Czas bo też już był największy raz wreszcie spożytkować w jakibądź sposób wiecznie dręczące mnie choroby!

Plan był doskonale obmyślany, miał przecież brak pewien.

— A my? — spytał Gioachino.

— Wy? No, wy powinniście by się przypatrywać tutaj... w najgorszym zaś razie musicie

powrócić z Romolem do Medjolanu i pocieszać się tą myślą, że mój zięć nie z wami ma się żenić...

Obaj starzy zaśmieli się, ponieważ obaj byli silnie zdecydowani za żadną cenę ztąd się nie ruszyć.

— Dobra noc — rzekł doktor — już późno a ja jutro muszę mieć podagrę. Gdybym przypadkiem miał zaspać, powiedźcie Federicowi, żem całą noc jęczał, niechaj jednak nie niepokoi mojej córki, nic to bowiem tak złego a i wy, zechciejcie być ostrożni i nie martwcie mi niepotrzebnie dziewczyny, rozumiecie?...

Obaj starzy, ogromnie zadowoleni życzyli mu dobrej nocy i wrócili jak weszli na palcach przez sień.

Gioachino natychmiast przystąpił do okna zamknąć okienice aby bez wzbudzenia podejrzeń można było zapalić światło, potem odwrócił się i zawołał nieopisanie rozradowany:

— Romolo!

— Cóż tam?

— Śnieg pada.

— Doprawdy?

I Romolo nie czekał już odpowiedzi tylko coprędzej raz jeszcze podążył przez sień, zapukał do drzwi doktora i do Tranquilliny, która wyszła do niego w rannym szlafroczku — rzekł wzruszonym głosem:

— Śnieg pada! Drobniuteńki śnieg jak manna; doktor Rocco nie potrzebuje uciekać się do podagry; przy takiem powietrzu nikt rozsądny nie puszcza się w drogę, chociażby miał cień tylko reumatyzmu... dobra noc...

— Dobra noc!

Romolo powrócił do swego pokoju z niezatartym w sercu obrazem.

— Co to za kobieta! — rzekł skoro tylko zamknął drzwi za sobą.

— Kto?

— Pani Tranquillina... czyś nic nie zauważył?

— Nic nie zauważyłem.

— Rzeczywiście nie? Czyś nic nie pojął?

— Czegoż to?

— Że list doktora nie przypadkowo został w kieszeni paltota, tylko, że Tranquillina z umysłu nie *chciała* go odesłać; a wiesz czemu? — bo rzadka jej przenikliwość dała jej dojrzeć naprzód to, co teraz się stało... ona to sama taki szczęśliwy obrot nadała rzeczom a doktorowi pozostawiła całą zasługę. Ta kobieta jest aniołem!

— Powiedz lepiej: ten anioł nie jest kobietą — odpowiedział Gioachino; — kiedy kto ma szczęśliwy pomysł, to nie pojmuję doprawdy czemu nim obdarza innego, czemu raczej nie windykuje go dla siebie jako swą własność. Niech kto inny pojmuje sobie tę cnotę!

Romolo nic nie odpowiedział; on pojmował doskonale, że cnota skromności w tym wypadku była logiczną koniecznością innej cnoty — mądrości, i że Tranquillinie potrzeba było cnót wszystkich by módz wytrzymać z doktorem.

— Zgaś później świecę — rzekł Gioachino — ja już śpię.

Romolo w chwilę później zgasił świecę i westchnął.

ROZDZIAŁ XXIII.

Który poczyna się śniegiem a kończy promieniem słońca.

W samej rzeczy pierwszy marzec przyniósł iście zimowy śnieg; całą zimę ani razu jednego taki śnieg nie spadł.

Przez okno werandy przypatrywali się zebrani kryształowym śniegu płateczkom spadającym wciąż jeszcze z nieba, jakkolwiek cały już krajobraz dokoła białym okryty był całunem a figury z terracotty w ogrodzie dziwacznie były nim poprzekształcane.

— Śnieg nie tak prędko ustanie — mówił doktor Rocco.

— Ma też nie mało do czynienia — odpowiedział Romolo — musi osłonić kiełkujące w ziemi ziarenka i nas postawić w położeniu byśmy z obawy przed reumatyzmem musieli tu pozostać...

— No, tego już dokazał. Cóż mu pozostaje przeto jeszcze do czynienia?

— Bardzo wiele — rzekł Gioachino; — tak n. p. musi cieniutkie ząbeczki gzymsów ot tej tam willi, którą zdaje się zbudował jakiś nauczyciel kaligrafji, proporcjonalnie wzmocnić — popatrzcie no jak pysznie popoprawiał nędzne fryzy i karłowate balkony — nie jestże to lekcja dla architektów? A to jeszcze nie wszystko; każdemu kominowi wkłada biały kołpak, sroce wyściela gniazdo fałszywą bawełną; poczerniałe wiekiem mury w nową błyszczącą przyodziewa sukienkę i każde drzewo obrzuca siwizną bez względu na to, czy głowa jego łysą czy przystrojoną bujnym iglic włosem.

Wszyscy przypatrywali się uważnie tej fantastycznej maskaradzie przyrody.

Gabriella przyglądała się śniegowi z wielką, zbyt wielką może uwagą, bo go nie widziała zupełnie i nie słyszała również słów, które od czasu do czasu do niej zwracano.

Federica nie było na werandzie.

Od godziny przeszło zamknął się w gabinecie z swym plenipotentem i adwokatem, by się wtajemniczyć w prowadzenie ksiąg i sądowe ustawy. Prawdopodobnie chodziło o wynalezienie najlepszego sposobu zaspokojenia wierzycieli bez zrujnowania posiadłości. Adwokat radził dopuścić do długotrwałego procesu, aby przez ten czas plenipotent miał czas za pomocą oszczędnego prowadzenia domu uporządkować interesa swego pana; plenipotent przecież był innego mniemania, przeczuwał bowiem, że w przyszłości Federico sam będzie sobie plenipotentem.

Podczas gdy ci trzej prowadzili dyskusję, Gioachino, który pozwalał sobie od czasu do czasu popatrzeć przez dziurkę od klucza lub podsłuchać co mówiono, czynił najróżnorodniejsze bezpodstawne domysły.

— Biedny Federico! — wołał raz po raz — stoi u okna blady jak płótno, nie mówi ani słowa i przysłuchuje się wszystkiemu z rezygnacją męczennika.

Nakoniec otwarły się drzwi gabinetu i naprzód wyszedł adwokat; miał minę wielce zasmuconą, która taki sprawiała mu kłopot jak nowy ubior niezwykłej formy.

Zbliżył się uroczyście, pokłonił się jeszcze uroczyściej, i oddalił się najuroczyściej.

W chwilkę później otwarły się drzwi przed oczyma wzruszonych i współczujących gości, powtórnie a przez nie wypadł plenipotent i przebiegł tuż obok wszystkich nie dotknąwszy niemal kapelusza.

Doktor Rocco, Tranquillina i Romolo popatrzeli na siebie jakby jedno chciało pytać drugiego: co to ma znaczyć?

Gabriella patrzała jak poprzednio na śnieg, nie widząc go jednak zupełnie, a Gioachino stanowczo zbliżył się do drzwi złowieszczych, otworzył je bez ceremonji i stanął na progu.

— Federico — rzekł do stojącego wciąż jeszcze u okna z głową spuszczoną na piersi; — co tobie, Federico?

— Co mi? Nic — odpowiedział tamten i nie poruszył się nawet.

Tymczasem Romolo a za nim nawet doktór i Tranquillina weszli do pokoju, w którym przed chwilą toczyły się obrady. Gabriella tylko pozostała u drzwi.

— Wejdź pani, panno Gabriello, wejdź... patrzaj — mówił Federico szczególniejszym jakimś tonem — myślałem wczoraj jeszcze, że posiadam choć resztki majątku, dziś widzę, że mi nic nie pozostaje; raz jeszcze robiliśmy rozrachunek z sumienną ścisłością — patrz pani, wszystkie te listy wierzycieli spadły dziś rano razem ze śniegiem; jest to śnieg innego rodzaju, zimnem przejmuje sam jego widok. Gdy się zaspokoi wszystkie długi, pozostaną jeszcze takie, których nie *mogę* zapłacić — twoje dziesięć tysięcy lirów, Romolo i twoje pięć tysięcy, Gioachino i może jeszcze nie mało innych drobnostek.

Słowa te wymówione z wymuszoną obojętnością znalazły smutny odgłos w każdej piersi. Nastała chwila milczenia; Gabriella wpatrywała się uparcie w jeden punkt ściany, by zapanować nad swem wzruszeniem, nie udało się jej to jednak i opuściła głowę na piersi.

Gdy odzyskała spokój, Federico mówił już dalej ironicznym tonem:

— Czy mi zostaje jaka nadzieja? A tak! Wuj Paolo! Udaje on wprawdzie ubogiego ale musi być bogatym; jest skąpy, podeszły już w latach, nie ma dzieci i lubi mnie podobno. Pozostaje mi więc nadzieja, że przez miłość dla mnie przeniesie się co najprędzej do wieczności... i to coś znaczy, zdaje mi się!

Wymówił te słowa tonem, który nie pozostawiał żadnej wątpliwości we względzie jego zamiarów u tych nawet, którzy nie znali mocy jego duszy.

Nikt nie odpowiedział. Federico ciągnął dalej:

— Czy przyjaciele moi ciekawi są jak bardzo kocha mnie wuj Paolo? Tu jest list, który dowiedziawszy się o mojem nieszczęściu natychmiast mi przesłał:

„Kochany mój siostrzeńcze!

„Powiadają, że jesteś zrujnowany, a ja nie wątpię o tem ani chwili, bo przypomnisz sobie pewnie, żem ci to przepowiedział!" — jak widzicie nie mało przywiązuje wagi do swego dywinacyjnego daru; a jeśli otwarcie nie mówi, że cieszy go, iż się nie omylił, to dla tego tylko, że mnie kocha bardzo; — „mimo to chciałeś zarządzać majątkiem na twój sposób a teraz ukarany jesteś za to. Ale co tu pomoże wyrzekać! Gdyby Ci miało nic nie pozostać, mam nadzieję, że przypomnisz sobie wówczas wuja; sam jestem, lubię Cię szczerze i chętnie zawsze widzieć Cię będę u mego stołu — więcej niestety nic dla Ciebie uczynić nie mogę, ku wielkiemu memu zmartwieniu, ponieważ jak Ci wiadomo nie mam pieniędzy. Tyle Ci tylko przyrzec mogę, że po mej śmierci, jeśli będziesz rozsądny, pozostanie Ci tyle, byś mógł żyć spokojnie acz tylko po mojemu, to jest oszczędnie.

Kochający Cię wuj
Paolo... !"

Zaledwie imię wuja Paolo przebrzmiało na pobladłych z gniewu wargach Federica, gdy Gio-

achino nagle jak sprężyna podskoczył w górę i by pokazać, że on jeden nie stracił głowy w ogólnym zamęcie — wykrzyknął:

— Pomysł!

— Posłuchajmyż tego pomysłu — rzekł doktor Rocco ściszonym głosem.

W tejże chwili przecież ukazał się lokaj meldując przybycie dwu osób, których bilety doręczył panu.

— „Inżynier Enea Ferri“ — czytał Federico bezdźwięcznym głosem; — w sam czas właśnie przybywa — dodał jakby w dalszym ciągu niewyrażonego monologu.

Potem spojrzał na drugi bilet i przeczytał:

— „Savino Martelli“ — Savino Martelli, kto to jest?

Naraz ciemne, ponure chmury zaległy mu czoło i naprzód zaczerwienił się potem pobladł nagle.

— Proś tych panów, niech wejdą — wybąknął.

Wszyscy oddalili się; doktor Rocco podążył naprzeciw inżyniera, by go powstrzymać, inni pozostali na werandzie. Nakoniec ukazał się ów straszliwy pan Savino Martelli, który samem swem nazwiskiem sprawiał już przerażenie. Był to nizki, podeszły już człowieczek, z twarzą okrągłą, dobroduszną i parą wielkich wypukłych oczu.

— Czy to być może! Toż ten człowiek wygląda dobrodusznie jak królik! — zauważył Gioachino ale nie dodał nic więcej, w tej chwili bowiem posłyszano głos Federica drżący konwulsyjnie, słów jednak nie można było zrozumieć.

Przez chwilę panowało złowrogie jakieś milczenie; potem pan Martelli wyszedł z gabinetu; maleńka jego postać zdawała się jeszcze więcej skurczoną a wielkie oczy wylewały zdroje łez.

— Panie Savino, mów pan, mów — co się to stało? co panu jest? — pytali Romolo i Gioachino dobiegając do niego, podczas gdy Tranquillina i Gabriella powstrzymując w piersiach oddech czekały wyjaśnienia.

— Mnie? nic — odpowiedział pan Savino— ale on, on nieszczęśliwy!

— No, ale cóż to jest? mówże pan!

— Znałem go jeszcze w pieluchach i nosiłem na ręku nieraz — bo ja, panie, byłem służącym w domu jego ojca; — miałem trochę zaoszczędzonego grosza na posag i wyprawę dla córeczki, która teraz ma ósmy rok... ale pewnego dnia, potrzeba było panu Federico pieniędzy i oddałem mu moje. Umówiliśmy się, że zwróci mi je, skoro mi tylko będą potrzebne... mnie tam tych pieniędzy nie potrzeba dopóki nie będę wydawał za mąż córki... dziś przecież on zrujnowany. Inni wierzyciele mają rewersa, mają pewne w rękach hypoteki, pierwej więc będą zaspokojeni... a mnie nic nie pozostanie...

— Ileż jest panu winien Federico? — spytał Romolo.

Pan Savino przecież wyciągnął rękę obronnie, jakby pojął jego zamiar, odetchnął nieco i mówił dalej:

— Nie płaczę nad sobą, ale nad nim. Gdybyście panowie wiedzieli... „Savino — powiedział do mnie i pochwycił moją rękę: „teraz dopiero widzę, żem nieszczęśliwszy niż sądziłem, bo mi umrzeć nawet nie wolno; życie moje do ciebie należy,“ — powiedział mi — „dla ciebie żyć będę, mój Savino i przysięgam ci, że twoja córka mieć będzie posag i wyprawę jakąś jej przeznaczał. Mam dwie ręce do pracy, będę pracował...“ mówił, „choćby mi przyszło... choćby mi przyszło nawet...

Panu Savino Martelli nie wystarczały już łzy płynące wciąż strumieniami po twarzy; musiał włożyć aż palec między zęby i gryźć go by stłumić łkanie. Gioachino i Romolo z trudem zaledwie zdołali zapanować nad swem wzruszeniem.

— Nie płacz pan, wszystkiemu da się zaradzić — rzekł Gioachino uspokajająco — powiedz pan tylko co masz do żądania.

— Ale czy panowie nie pojmujecie — zawołał Savino — czy nie pojmujecie, że to prawdziwa łaska Opatrzności, że ten biedny chłopiec nie może mnie spłacić? Toż sam powiedział, że przez to nie jest już panem swego życia... a gdyby nim był, czy wiecie, coby uczynił?... Ah!

Pan Savino Martelli zadrżał całem ciałem, potem otarł sobie łzy i mówił dalej:

— O moje parę groszy nie potrzebuję się już teraz kłopotać; Federico jest zdrów i ma bogatego, starego wuja, który niezawodnie przed nim umrze; wtedy i ja otrzymam moje pieniądze i on będzie znów bogatym... Co przez ten czas jednak?... Z wujem znieść się nie może...

Rozmawiając tak przeszli sień i schodzili teraz ze schodów; Gabriella pozostała na górze i wolnym krokiem powracała do opróżnionej werandy.

W chwilkę później drzwi gabinetu się rozwarły zwolna i stanął w nich Federico; był blady, zdał się przecież spokojnym; Gabriella odwróciła się ku niemu i wyciągnęła doń obie ręce.

— Pani litujesz się nademną, panno Gabriello — szepnął — a przecież nie znasz jeszcze całego ogromu mego nieszczęścia.

— Wiem wszystko; pan Savino wszystko nam opowiedział, ale nie lituję się nad panem — ja podziwiam pana. Gdybyś pan wiedział, jak wielkim mi się wydajesz w swem nieszczęściu, gdybyś wiedział, jak cię czczę, jak szanuję w tej chwili!

— Gdybyś pani wiedziała, jak... — zawołał młody człowiek oczarowany jej słowami, nagle przecież zamilkł; Gabriellę oblał gorący rumieniec — oboje milczeli. Nakoniec począł Federico.

— Inżynier... przyjechał... czyś go pani widziała?

— Jeszcze nie, pewnie na dole jest z ojcem, zobaczymy go wczas jeszcze; teraz jednak powiedz mi pan, co zamyślasz czynić; — skorośmy rzeczywiście przyjaciołmi, trzeba, żebyś pan raz mi tego dowiódł — dodała z uśmiechem — przystąpmyż razem do okna pańskiej przyszłości.

— Ja już byłem u tego okna — odparł Federico — i badałem drogi stojące dla mnie otworem; dwie ich wszystkiego tylko: nauczycielstwo albo sztuka; waham się tylko między karjerą drugiego tenora w którym z drugorzędnych teatrów a nauczyciela wiejskiego; prawdopodobnie wybiorę to ostatnie, mniej to rozgłośne.

Naraz posłyszeli spieszne kroki po schodach i w sieni; nagle promień słońca wdarł się do werandy i niemal równocześnie stanął przed nimi inżynier Enea — równie radością promienny jak promień słońca.

— Gabriello... to jest panno Gabriello... czy to prawda, czy to prawda rzeczywiście, co mi mówił ojciec pani? Czy to prawda, że pani... Wybacz, Federico, taki jestem szczęśliwy! Zupełnie tracę głowę! Wiem, że cię spotkało nieszczęście... tu moja, ręka rozrządzaj mną jak ci się podoba; później powrócimy do tej kwestji jeszcze.

Gabriella i Federico cofnęli się o krok mimowolnie; ona była straszliwie blada, on jak nieprzytomny poglądał przez okno.

— Czy to prawda? — szturmował Enea— czy to prawda, panno Gabriello, że...?

— Prawda — odpowiedziała Gabriella nie dozwalając mu dokończyć i wybiegła płacząc.

— Co jej jest? — spytał nieszczęśliwy inżynier swego przyjaciela; — nie pojmuję zupełnie tego postępowania.

— To miłość czyni ją tak drażliwą — odpowiedział Federico nie bez przymieszki szyderstwa — jeśli się nie mylę.

— Nie mylisz się bynajmniej, panna Gabriella przyjęła mnie właśnie, już przedwczoraj zdecydowała się ostatecznie na uczynienie mnie najszczęśliwszym z śmiertelników. Ale teraz do ciebie, mój przyjacielu; powiadają, żeś zrujnowany — nic to tak strasznego znowu, my to wszystko doprowadzimy do porzędku; przejeżdżając rozejrzałem się trochę w twej posiadłości, musi co najmniej być wartą trzy kroć sto tysięcy lirów.

— Mylisz się — oszacowana jest na dwakroć zaledwie.

— To szacunek jest fałszywy; ja ci to sprzedam za trzykroć, popłacisz wszystkie długi i jeszcze ci pozostanie tyle byś sobie mógł ładną nabyć wioseczkę. Miałeś zamiar oddać się gospodarstwu wiejskiemu, tak mówiłeś przynajmniej i bądź pewien, że ci się to uda, ręczę słowem. Od tej chwili mnie robisz twym plenipotentem, odpędzasz tamtego, dajesz mi pełnomocnictwo, a ja w krótkim czasie cię wydobędę z tych tarapatów. W nagrodę o jedną tylko poproszę cię przysługę... czy mi jej nie odmówisz?

— Jakąż ja przysługę mógłbym ci oddać?

— Będziesz mi trzymał do chrztu pierwszego syna; nazwiemy go Leonem Federikiem. Twoje imię *) winno mu przynieść szczęście, bo pewnie nie uszło twej uwagi, że matka jego jest potrochu niewierną.

— Jego matka?

— Gabriella, panna Gabriella! pozwól, że ją tak nazywam. Taki jestem szczęśliwy, ah, taki szczęśliwy! A, Federico, gdybyś ty wiedział jaki ja jestem szczęśliwy! (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Kosmos za rok 1878.

(Dokończenie).

Sprawa mikrofonji kilkakrotnie poruszaną jest w Kosmosie. Pan Ochorowicz podał także teorją mikrofonu w osobnym artykule, napisanym z niezwykłą jasnością, lecz z wnioskami którego w niektórych punktach zgodzić się nie możemy. Słusznem jest twierdzenie pana O. że działanie fal dźwiękowych odbywa się nie w massie mikrofonu, lecz w punktach rozdziału. Jestto teorja ogólnie obecnie przyjęta i stwierdzona doświadczalnie. Edison był pierwszym jej propagatorem. Lecz wnioskowanie, iż właściwą przyczyną działania mikrofonu jest *przerywanie prądu*, nie zgadza się z teorjami akustyki. Mikrofon prze-

*) Federico—rico di fede: bogaty w wiarę. (Przyp. tłum.)

nosi barwę głosu i można w nim odróżnić gwizdanie od spiewu, lub gry na jakimś instrumencie, a przerywanemi prądami tego nigdyby uczynić nie można było. Prąd przebiega przez mikrofon ciągle, bez żadnej przerwy, zmienia tylko co chwilę swoje natężenie, proporcjonalnie do zmiany natężenia w falach głosowych. Nie jest on przerywanym, lecz falistym. Za pomocą przerywanego prądu, możnaby tylko przenosić wysokość tonu, a nie jego barwę.

W rozprawie pana O. znajdujemy bardzo jasne i dobre wyprowadzenie prawa, iż mikrofon nie wzmacnia ani dźwięków, ani szmerów, więc że nazwa jego nie jest zupełnie odpowiednio uformowaną.

Z dziedziny fizyki znajdujemy w roczniku Kosmosu, o którym mowa, dłuższą pracę, mieszczącą się w sześciu zeszytach, Dr. Ludwika Birkenmajera, zatytułowaną: „Studja z dziedzidziny fizyki teoretycznej". Autor, widocznie gorący zwolennik poszukiwań teoretycznych w dziedzinie mechaniki rozumowej, a w szczególności mechaniki niebieskiej, zestawia dotychczasowe teorje i wyprowadza z nich ogólne wzory tyczące się wewnętrznego ustroju ciał niebieskich, a w szczególności ziemi. Punktem wyścia jest hypoteza Laplace'a, że gęstość warstw współśrodkowych ziemi, rośnie ku środkowi ziemi w postępie arytmetycznym wraz z głębokością. Nie możemy się wdawać na tem miejscu w bliższy rozbiór tej pracy, pełnej erudycji i znamionującej wielkie oczytanie w przedmiocie autora. Życzylibyśmy tylko trochę więcej jasności w zestawieniu wzorów, szczególniej w ostatnim rozdziale. W ogóle praca to sumienna i wiele od autora na przyszłość obiecująca.

P. Emil Dunikowski, assystent przy katedrze geologji i mineralogji w szkole politechnicznej lwowskiej, zasilił Kosmos bardzo ładnie i obrazowo napisaną rozprawą: „Geologiczny profil przez wschodnie Alpy w zastosowaniu do teorji tworzenia się gór". Jestto sprawozdanie z wycieczki naukowej do Alp, pod przewodnictwiem prof. Suessa, w której autor brał czynny udział. Profil szedł w linji Salcburg-Udine. Autor w sześciu rozdziałach przedstawia szeregi formacji geologicznych, jakie się na drodze spotykały, opisując je szczegółowo a nareszcie w ostatnim rozdziale, podaje ogólne wnioski, tyczące się teorji powstawania gór pasmowych. Autor zbija dawne poglądy co do powstawania gór, a przejawia się zwolennikiem poglądów Dany, Lecomta i Suessa, którzy twierdzą, oparci na bogatym materjale geologicznym, zebranym z niezliczonych spostrzeżeń, iż nie siła pionowo podnosząca, lecz siła działająca poziomo w skorupie ziemskiej, była przyczyną utworzenia się gór pasmowych. Dana przedstawia sobie ziemię, powiada autor, jako kulę, która była pierwotnie płynną, a potem tężała od środka począwszy, równocześnie stałą powlekając się skorupą. W skutek tego tężenia staje się kula ziemska coraz mniejszą, w stałej skorupie powstają więc boczne siły, objaśniające się jako parcie, którem się wreszcie powłoka poddać musi w miejscach słabszych. Dla stosunków europejskich najważniejszemi w tym kierunku pracami są poszukiwania Suessa, który się przeważnie Alpami zajmował. Alpy, według niego są niczem innem jak kilkoma razem zsuniętymi pasmami. Ziemia, jest w swym tworzeniu się podobną do innych ciał niebieskich, które dotychczas są w stanie rozpalonej massy, jak słońce i gwiazdy. Jest ona gwiazdą nieco starszą. I jak tam czarne plamy, według Zölnera i Tacchiniego mają przedstawiać początki krzepnięcia skorupy, tak i tu zachodziły te same stosunki. Tworzyły się na rozpalonej massie olbrzymie kry, nieregularnie ograniczone, które potem zajęły całą powierzchnię ziemi, oddziaływały na siebie pod wpływem ciepła zmniejszającego się i siły przyciągania i powoli tą drogą utworzyła się obecna budowa powierzchni ziemi, podlegająca jeszcze ciągłym dalszym zmianom.

Dr. Mikołajczak nauczyciel szkoły górniczej w Tarnowskich górach (Tarnowitz) na górnym Szlązku, kilkakrotnie nadsyłał artykuły tyczące się przeważnie górnictwa. Jeden z nich pt. „Źródła naftowe w zachodniej Galicji pod względem geognostycznym uważane i teorja ich powstania". zajmuje się sprawozdaniem i krytycznym rozbiorem broszury L. Strippelmanna, spisującej w zestawieniu źródła naftowe w Galicji i dającej wskazówki na przyszłość, gdzie większego powodzenia spodziewać się można. Oprócz tego autor podaje teorję powstawania nafty, a z niej wyprowadza wniosek, że jej szukać należy w daleko większych głębinach ziemi do 2000 stóp sięgających. Pierwsza część artykułu zajęta jest poglądem geograficznym na rozkład źródeł naftowych, potem geognostycznym ustrojem okolic, dalej szczegółowym opisem najważniejszych źródeł naftowych w zachodniej Galicji. Z wielu spostrzeżeń autor wyprowadza wniosek, iż choć nafta się w eoceńskich utworach znajduje to jednak utwory kredowe ogniwa Neokom zawierają głównie źródliska olejne. Więc we wyższych poziomach nafta znajduje się w drugorzędnem miejscu a właściwych jej źródeł głębiej szukać należy. Tam, mają być wielkie rezerwoary olejne, z których na daleko obfitszy przypływ ropianki rachować można.

Teorja powstawania nafty Strippelmana zgadza się w większej części z teorją stawianą przez śp. Windakiewicza. Rozróżnia on olej zwierzęcego pochodzenia od oleju roślinnego. Mówi, że wulkaniczne wybuchy spowodowały gromadną śmierć ryb, najliczniej zamieszkujących morze; falami morskiemi w jedno miejsce zniesione i szlamem pokryte, dały one obfity materjał do utworzenia ropy. Bujna roślinność formacji węgla kamiennego dała początek olejowi roślinnemu. Więc ciała roślinne i zwierzęce formacji węglowej i dewońskiej, dały początek powstaniu nafty. Trzeba więc dostać się do tych formacji, żeby dotrzeć do źródła głównego a według przypuszczalnych obliczeń pokłady te leżą w głębokości około stóp 2000 i tam według p. Strippelmanna napotkać można otchłanie napełnione ropą i samo ognisko jej powstawania. Do takich głębokich wierceń poleca dwa szlaki: jeden przez Pętnę, Ropicę, Męcinę, Siary; drugą przez Dominikowice, Kryg, Lipinki, Wójtową, Harklową.

Dr. Mikołajczak w ostatnim rozdziale podaje swój pogląd krytyczny na broszurę p. Strippelmana, i przychodzi przedewszystkiem do wniosku, że nie zawiera ona wiele nowego, lecz jest po większej części czerpaną z dzieła E. Windakiewicza pt. „Olej i wosk ziemny w Galicji." Autor polemizuje z obu wspomnianemi wyżej górnikami i przychodzi w wielu punktach do wniosków odmiennych, szczególniej co do głębokości powstawania nafty. Artykuł ten polecamy szczególniej uwadze i ocenie ludzi fachowych. Wszelka polemika publiczna, w dziennikach, przynosi zawsze korzyść, ktora powinna nas jeszcze tembardziej obchodzić że kraj jest tak obfity w źródła naftowe.

Oprócz tej większej znajdujemy w roczniku Kosmosu mniejsze rozprawy Dra. Mikołajczaka, z których jedna traktuje „O Wapniu dziurczatym na Górnym Szląsku, w Krakowskiem i Królestwie polskiem i jego stanowisku w systemie tryjasowym, „O szkole górniczej w Tarnowskich górach" wreszcie kilka mniejszych rozpraw w notatkach naukowych.

STRONNICTWA POLITYCZNE W POLSCE

ZA ZYGMUNTA I.

Odpowiedź na poglądy w tej sprawie Prof. Liskego (Przegląd Pols. Czerwiec, 1879).

Jednym z najpomyślniejszych objawów naszego piśmiennictwa jest coraz bardziej ożywiający się ruch na polu dziejopisarskiem. Ruch ten, objawiający się przedewszystkiem w wydawnictwie źródeł i monografjach specjalnych, sprowadził u nas badania historyczne na jedynie właściwe tory, w krótkim czasie niemałe odniósł zdobycze w zakresie znajomości dziejów ojczystych i coraz szersze przybiera rozmiary, nieustannie prawie nowych zyskując pracowników. Dziś już tylu ich liczymy, iż niemal każda epoka, każdy dział specjalny, ma ich kilku, wyłącznie sobie oddanych, a pojawienie się prac ważniejszych wywołuje nader ożywione i zajmujące ścieranie się zdań, polemikę prowadzoną przez specjalistów, dyskusję częstokroć prawdziwie naukową.

W ostatnich czasach największą wrzawę wywołały „Dzieje Polski" Prof. Bobrzyńskiego. Pomiędzy licznymi głosami o tej książce pojawiła się także obszerna recenzja Prof. Liskego („Przegląd Pols." Czerwiec 1879). Autor jej poruszył cały szereg zagadnień pierwszorzędnej wagi, a jednem z najważniejszych jest kwestja stronnictw politycznych za Zygmunta I.

Jakkolwiek w pojmowaniu tych czasów pod niejednym względem zupełnie zgadzam się z Szan. recenzentem, to jednak hipotezy jego o ówczesnych partjach politycznych w Polsce wcale nie podzielam. Zabieram zaś głos w tej sprawie tem chętniej, że zarazem uważam sobie za obowiązek wystąpić w obronie poglądów moich w tym przedmiocie, wyrażonych na innem miejscu*), a również zaatakowanych w pomienionej recenzji.

Zdaniem Prof. Liskego ugrupowały się w Polsce po r. 1515 dwa stronnictwa polityczne, około dwóch osobistości, przedstawiających dwa wręcz przeciwne sobie kierunki w zakresie polityki zewnętrznej. Szan. autor nie przedstawił nam dążeń i celów tych partyj, powiada tylko, że jedna z nich, której głownymi członkami byli Tomicki, Szydłowiecki i Krzycki „reprezentowała zgodę z Austją", druga zaś z arcybiskupem Łaskim na czele, stanowczo nieprzyjazna domowi rakuskiemu, pragnęła związków i przymierza z Francją. Na takiem przypuszczeniu opierając się kreśli p. L. ówczesne stosunki wewnętrze w Polsce, a mianowicie tłomaczy objawy antagonizmu między Tomickim a Łaskim.

Jest to pewnikiem ogólnie uznanym, że jeżeli jakaś hipoteza jest mylną, to i oparte na

*) W szkicu p. n. „Jan Łaski, arcybiskup gnieznieński, sprzymierzeńcem sułtana tureckiego."

niej tłómaczenie pewnych wypadków lub zjawisk również musi być błędnem. Zdanie to da się zupełnie zastosować do streszczonych powyżej poglądów Prof. Liskego. Mylność zaś owej hipotezy Szan. autora wynika z uwag i dat następujących.

Przez stronnictwo polityczne w najszerszem tego słowa znaczeniu rozumiemy zastęp ludzi, który dążąc wspólnie i z konsekwencją do pewnych z góry wytkniętych celów, zamierza wywrzeć wpływ albo na ustrój wewnętrzny państwa, albo też jego stosunki zewnętrzne. Jeżeli zatem owe koła zwolenników grupujących się około Tomickiego i prymasa były rzeczywiście partjami politycznemi, to muszą one mieć główne przynajmniej, w takim wypadku właściwe znamiona, a mianowicie pewne odmienne cele polityczne, a nadto postępowanie ich przewódców musi się odznaczać stałem dążeniem do osiągnięcia zadań sobie zakreślonych. Cechy te są tak nieodzielne od pojęcia stronnictwa politycznego, iż bez nich istnienia partji politycznej przypuścić nawet niepodobna.

Zobaczmy, czy też rzeczywiście posiadały te dwa grona osób, otaczających podkanclerzego i arcybiskupa, owe niezbędne pod tym względem znamiona.

Prof. Liske nie określił nam bliżej ich dążeń; powiada tylko, że jedni zmierzali do ścisłego porozumienia z domem rakuskim, drudzy do przymierza z Francją. Związki tego rodzaju nie mogły być celem, lecz tylko środkiem działania. Programu ich zatem nie znamy. Jeżeli zaś mimo to twierdzi Szan. autor, że stronnictwa takie istniały, toć oczywiście musiałoby to wynikać z działalności ich przewódców, z konsekwentnego dążenia tych partyj wrzekomych w pewnym stałym kierunku, jakkolwiek do celów nam bliżej nieznanych.

Ale jakże przedstawia się ta działalność ich w rzeczywistości?

W r. 1517 i 1518, kiedy Zygmunt I. w najlepszych zostawał stosunkach z Maksymiljanem, w istocie popierali Tomicki i Szydłowiecki plany cesarskie w sprawie drugiego małżeństwa królewskiego, podczas gdy Łaski usiłował nakłonić króla do związku z Anną księżniczką mazowiecką. Ale już w roku następnym zupełnie zmienia się postępowanie tych wrzekomych przewódców partji austrjackiej. Po śmierci bowiem Maksymiljana zamierzano w Polsce wyzyskać ówczesne stosunki w Niemczech, a mianowicie rywalizację o koronę cesarską między Franciszkiem I. a dynastją Habsburską, aby jak najwięcej ustępstw wyjednać od przyszłego cesarza. Tem większe zaś robiono sobie pod tym względem nadzieje, iż Zygmunt jako opiekun małoletniego Ludwika miał wziąć udział w zbliżającej się elekcji i w zamian za oddanie swojego głosu mógł dość znaczne dla Polski uzyskać korzyści. Król polski, po pewnem wahaniu się, przechylił się na stronę Karola, ale Tomicki i Szydłowiecki — o ile można wnosić z wypadków następnych — prawdopodobnie już w r. 1519 przeszli na stronę francuską, ujęci bogatymi darami Franciszka I.

Bawiącemu wówczas w Polsce poselstwu francuskiemu pomyślnej udzielono w tej sprawie odpowiedzi. Posłowie wracając do domu, jeszcze z Wenecji nowe posłali podarunki podkanclerzemu i Krzyckiemu, za które im Tomicki w swojem i swojego siostrzeńca imieniu najczulsze składa dzięki. „Dołożymy wszelkich starań“ — powiada podkanclerzy — „abyśmy przy każdej sposobności mogli WW. Mościom za to odwzajemnić się i odsłużyć, jakoteż okazać, iż tylu dowodów uprzejmości i dobroci nie złożyliście ludziom niegodnym i niepomnym obowiązków wdzięczności“*).

Wypadki późniejsze dowiodły, że zapewnienia te wcale nie były czczym frazesem w ustach Tomickiego. Jakkolwiek bowiem nie udało się Franciszkowi I. stale pozyskać sobie większości elektorów i otrzymać korony cesarskiej, to jednak w innej sprawie miał mu oddać dwór polski nader ważne usługi, a mianowicie w zabiegach dyplomacji francuskiej około utworzenia związku państw wschodnich przeciw domowi rakuskiemu**). Stosunki między Polską a Francją, zawiązane w r. 1519, stawały się też odtąd coraz bliższe, a w końcu w r. 1524 zawarto układy, które obydwa te państwa połączyły nader ścisłym węzłem przymierza.

Nie przedstawiam tu rokowań pod tym względem podejmowanych, gdyż wkrótce w osobnej pracy zamierzam skreślić historję tych układów i wykazać znaczenie traktatów wówczas zawartych. To jednak muszę zauważyć, iż myli się Prof. Liske, sądząc, że „arcybiskup wówczas na wielką skalę rozwijał czynność i że on i jego rodzina, była główną sprężyną“ tych działań dyplomatycznych (str. 365). W korespondencji w tej sprawie przechowanej w Tomicjanach, nie masz ani jednej wzmianki o prymasie, ani jednego listu do niego lub przez niego pisanego. Przeciwnie, całą akcyą prowadzą Szydłowiecki i Tomicki, a prowadzą ją w ten sposób, iż z całego przebiegu wypadków wynika niewątpliwie, iż kanclerz i podkanclerzy działali tu nie tylko z rozkazu królewskiego, ale że wszystko, co się wówczas stało, było zgodnem z ich przekonaniem, wypływało z ich osobistych planów i dążeń politycznych.

Synowiec arcybiskupa Hieronim jeździł wprawdzie w owych latach dwukrotnie do Francji, w r. 1520 i 1524, ale już wiek jego ówczesny dowodzi (w r. 1520 miał lat 23), iż wówczas większego wpływu na sprawy publiczne wywierać nie mógł i w rokowaniach z dworem francuskim był tylko wykonawcą poleceń kancelarji królewskiej.

Układy zawarte w r. 1524 usiłowano jak najdłużej utrzymać w tajemnicy i odsłonić je dopiero za nadejściem chwili stosownej. Ale chwila tego rodzaju wcale nie nadchodziła. W. r. 1525 stoczono nieszczęśliwą dla oręża francuskiego bitwę pod Pawią, w której Franciszek I. dostał się do niewoli cesarskiej. Traktat madrycki (1526) jako też wypadki lat następnych nie zdołały zachwiać olbrzymiej potęgi domu rakuskiego, a Polska, nie chcąc narazić się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, nie mogła przystąpić do wykonania planów ułożonych w r. 1524. Co więcej, ciągłe stosunki Karola V. z Moskwą budziły podejrzenie, że dyplomacja austrjacka ponownie mogłaby podburzyć w. księcia moskiewskiego przeciw Polsce***). Z tych więc powodów, po nieudałych zabiegach Zygmunta o koronę czeską i węgierską (w r. 1526), postanowiono w roku następnym znowu zbliżyć się do dworu wiedeńskiego.

*) Acta Tomic. T. V. str. 60.

**) Niepodobna mi podać tu dowodów na poparcie tego twierdzenia; przedstawię je w osobnej pracy, poświęconej historji tych rokowań.

***) Obawy te w sposób bardzo charakterystyczny wyrażają listy królewskie z r. 1525 i 1526. Acta Tomic. T. VII str. 317; T. VIII str. 306.

Pierwszym objawem tego nowego zwrotu w polityce polskiej było wysłanie do Pragi w r. 1527 Krzysztofa Szydłowieckiego, który miał ofiarować pośrednictwo polskie w sprawie węgierskiej, a zarazem odnowić dawne traktaty przymierza i wyrazić gotowość do zawarcia układu małżeńskiego między Zygmuntem Augustem a Elżbietą córką Ferdynannda*).

Od tej chwili na dworze polskim nader niechętnem patrzono okiem na wszystko, cokolwiekby mogło nadwątlić tę pozorną przynajmniej przyjaźń z domem Habsburskim i dlatego to takie niezadowolenie Zygmunta wywoływały zabiegi Hieronima Łaskiego, podejmowane w usługach Zapolyi, a przedewszystkiem plan wojewody wciągnięcia Polski do przymierza przeciw dynastji rakuskiej**).

Ze zmianą polityki Zygmunta I. zmieniły się także dążności i sympatje polityczne kanclerza i podkanclerzego, jako też ich bliższych przyjaciół i zwolenników. Jak w latach 1519—1526 gorliwie i szczerze prowadzili Tomicki i Szydłowiecki owe układy z Francją, tak odtąd stanowczo występują przeciw wszelkim zabiegom, które mogłyby podkopać dobre porozumienie z dworem wiedeńskim. Było to wynikiem zmienionej sytuacji europejskiej, jako też planów i dążeń ówczesnych samego króla — który w owych latach przynajmniej wcale nie był narzędziem w rękach swoich doradców — a nie środkiem do nieznanych nam celów jakiejś partji politycznej. Zawziętość zaś, z jaką kanclerz i podkanclerzy prowadzili ową walkę z arcybiskupem i jego synowcem, nie pochodziła z pobudek politycznych, lecz z osobistego antagonizmu obydwóch tych dostojników do prymasa i jego rodziny.

Zwrot ten w polityce polskiej utrzymał się przez czas dłuższy, a Szydłowiecki i Tomicki nie potrzebowali już odstępować od tego kierunku, gdyż w kilka lat później obydwaj schodzą z widowni politycznej: Szydłowiecki umiera w r. 1532, Tomicki w trzy lata później, w r. 1535.

Oto rzeczywisty przebieg wypadków. Wynika ztąd w sposób niewątpliwy, że kanclerz i podkanclerzy nie mieli swej oddzielnej polityki, lecz że zmieniali swoje dążności i sympatje polityczne w miarę prądów przeważających na dworze królewskim, które znowu zależały od sytuacji europejskiej i osobistych planów Bony i Zygmunta. W postępowaniu ich zatem nie masz konsekwentnego dążenia do jakichś celów właściwych im a nam bliżej nieznanych, do których głównym środkiem miało być przymierze z domem rakuskim. Tak więc owe grono osób otaczających obydwóch dostojników wcale nie było partją polityczną, gdyż nie posiadało najważniejszych pod tym względem znamion, a nieodzielnych od pojęcia stronnictwa politycznego.

(D. n.)

Kronika tygodniowa.

Szczęście nasze, że podczas wyborów nie mieliśmy gorąca, albowiem przy takiem bałamuceniu głów wyborczych przez agitatorów, nie trudno byłoby o kanikułę. Mieliśmy szczerą intencję wyrządzenia psikusa panu Ludwikowi Wol-

*) Acta Tomic. T. IX. Nr. 52.

**) J. Łaski sprzymierzeńcem sułtana tureckiego (str. 40).

skiemu, i dlatego w ostatniej chwili przyszła nam ochota zrobienia go zdrajcą stańczykiem. Możecie sobie wyobrazić, jak żarliwie szła sprawa agitacyjna przeciw temu panu w sieniach magistratu, jeżeli w tem zamięszaniu brano żywe osoby za mury uliczne i lepiono na nich żydowskie wyborcze proklamacje. Coś podobnego chociaż bez lepienia miało miejsce przy wyborach posła z większej własności, jednak i p. Bartmański kierownik namiestnictwa z dnia 16 listopada 1878 r. zdołał dosiądz poselskiego krzesła. Izba handlowa tylko pokazała się bardzo konserwatywnie dyplomatyczną, obrawszy posła in partibus infidelium w osobie pana Bodyńskiego. Mówię in partibus, bo p. Bodyński obiecał zrezygnować skoro honorowi jego stanie się zadosyć, a na posła do Rady państwa ma wyjść osobistość powszechnie znana i poważana we Lwowie, która o ile sądzić można z przeszłości nie da naszej delegacji tak lekko kiwać głową z potakiwaniem panom ministrom.

Wszystko jednak niczem jest, w porównaniu z tem, co będzie po zrezygnowaniu posła Hausnera z poselstwa lwowskiego. Jak wiadomo, p. Hausner obrany został w Samborze, zatem otwiera się kandydatom we Lwowie nowy teren do współubiegań i walki. Głos powszechny wskazuje jedno jedyne imię osiwiałego w parlamentarnych bojach Dra Franciszka Smolki, tego ojca federalizmu austrjackiego, który lat tyle dzwonił na to kazanie, jakie nam świeża ugoda z Czechami zapowiada. Jeżeli kiedy, to dziś byłaby pora wprowadzić do Rady państwa człowieka znającego sprawy polityczne lepiej niż ktobądź inny, męża mającego nieograniczone zaufanie u Czechów i zdolnego popchnąć Austrję na nowe i jedyne tory istnienia. Tak tedy centraliści pobici zostali z kretesem przy ostatnich wyborach — konserwatyzm wziął górę, a co ta góra nam urodzi, to czas pokaże — obawiamy się aby nie mysz. Hrabia Taaffe pokazuje się dobrze im nogę podstawiał; stare filary gründerstwa żydowskiego runęły, a Nowa Pressa rzuca jeszcze kiedy niekiedy strzały, tylko to szczęście, że już z wystrzelanego rewolwera.

Skoro więc nastają czasy konserwatywne, zwracamy uwagę naszych posłów na jedenaste wydanie dzieła p. Lucyny Cwierczakiewiczowej pod tytułem: „Jedyne praktyczne przepisy robienia konserwów i innych zapasów spiżarnianych.“ Ona zapewnia, że wszystko najlepiej się wtedy konserwuje, jeżeli nie żałujemy cukru; otóż niechże panowie posłowie nie zapominają o tym programie i słodzą nam pobyt w Galicji, inaczej bowiem takie konserwy burzyć się zaczynają, kwaśnieją, a czasem i strzelają z pęcherzy. Czas krakowski nawołuje szlachtę aby trzymała się gromady i oczyszczała z *naleciałości;* — jestto bardzo rozumna rada, gdy idzie o marynaty konserwowane w occie, ale naleciałości te nie mają jeszcze kwasu i nie dadzą sobie tak łatwo ust zamknąć. Jużto ta ulica passjami lubi krzyczeć i wiele robić hałasów, przed któremi nie dosyć jest skryć się pod arkusz bibuły zadrukowanej w Krakowie.

Jeżeli konserwatyzm tych panów ma oznaczyć cofanie się w stare dawne czasy kiedy się to jeszcze starostwa rozdawały — to mylą się bardzo sądząc, że świat da się zawrócić napowrót.

Prócz zajęcia się wyborami panuje teraz we Lwowie prawdziwa apatja. Nic się nie udaje: festyny, teatr, egzamina, a nawet głośny proces Towarzystwa kredytowego miejskiego, przechodzą bez żadnego wrażenia. Ludzie się włóczą po ulicach dla zabicia czasu, ziewają po cukierniach, w teatrze drzemią, a kto tylko może i ma za co, jedzie gdzieś w góry szukać wody do kąpieli i wolnego od wapiennego pyłu powietrza. Rynek jeszcze się brukuje, ruch budowlany trochę ożywia, na rogu ulicy Słowackiego i Sykstuskiej mamy obiecane nowe łazienki, żeby nie tak drogie, jak te które, urządzono w Europejskim hotelu. P. Zakrzewski pierwszy tenorzysta lwowskiej opery zbiera laury po dziennikach Warszawskich i jak słychać zaangażowany został do Kijowa. Winszujemy mu tej odwagi wobec stanu wojennego... i p. Czortkowa. Niech próbuje zachwycać Moskali póki nie zrobią go nihilistą i nie powieszą... na laurach.

Klasa rzemieślnicza za to krząta się już i sposobi do losowania premji z zapisu hr. Łodzia Ponińskiego, ktory w najlepszej chęci przyjścia z pomocą czeladzi rzemieślniczej, zrobił fundację przynoszącą im stratę. Wygrywające premia przy losowaniu, do którego dopuszczani są wszyscy czeladnicy moralnego prowadzenia się urodzeni w Galicji, wynoszą przeszło 150) zł., gdy tymczasem strata czasu i koszta zjazdu tych czeladników na losowanie reprezentuje z pewnością dwa razy tyle. Dotąd zgłosiło się do Wydziału krajowego przeszło 600 amatorów, więc policzywszy ich mitręgę, koszta podań, podróż i nieodłączną libację na szczęście — rachunek nasz będzie usprawiedliwionym. Wartoby więc, aby ktoś mający tu głos stanowczy zajął się reformą tego losowania, aby wynagrodzić czy rzeczywiście potrzebnych czy zasłużonych — bez marnowania sił roboczych takiej gromady czeladników.

Obok tryumfów z pomyślnym skutkiem przeprowadzonych wyborów, na wsi płacz i bardzo smutna mina braci szlachty, z powodu nieustannych deszczów, które przeszkadzają robotom, i opóźniają żniwa. Zapewniają nas, że siano gnije, pszenica się kładzie, a kartoflom grozi zaraza. Znakomity astronom p. Flamarion utrzymuje, że wszystkiemu temu winien jest brak plam na słońcu, które tego roku poznikały, i że z tego powodu prawdopodobnym jest koniec świata w r. 1880. No, jakże tu wobec takiej definicji, nam biednym ludziom starać się o oczyszczanie z plam nędznych osobistości ludzkich, skoro taki mocarz i karmiciel ziemi, cierpi i psoty wyprawia, kiedy się plam pozbył? Gdyby rzeczywiście już przyjść miało do tego końca świata, to radziłbym wszystkim dłużnikom ile możności zwłóczyć termin wypłaty wekslów do przyszłego roku, albowiem na tamtym świecie, podobno jeszcze korzystniejszą będzie dla nich procedura cywilna, niż c. k. austrjacka, i że tam wobec wieczności dadzą się przeciągać procesa ad finitum, a delaty dają się nie na miesiące ale na całe wieki.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

⁂ Dowiadujemy się że firma warszawska F. Hösioka nabyła i zamierza wydać „Tęczowe obrazki“ utalentowanego pisarza dla dzieci p. Władysława Bełzy.

⁂ Spiewnika polskiego opuścił prasę zesz. 12. kończący Tom 4 a zawierający 212 piosnek miłosnych, Zeszyt ten kończy I serję tego wydawnictwa, które ze wszystkich tego rodzaju jest najkompletniejszem i zawiera li same wyborowe utwory.

⁂ P. Feliks Jezierski, znany z klasycznych przekładów poetycznych arcydzieł literatur europejskich, ukończył już tłómaczenie obu części „Fausta“ Goethe'go.

Tłómaczenia te, zalecające się zarówno zwykłą u pana J. wiernością i wniknięciem w ducha utworów jak i formą skończoną, pomieści *Bibljoteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej.*

⁂ „Kąpiele Schwarzenberg, węgierski Gräfenberg na Spiżu“, pod tym tytułem opuściły prasę wspomnienia z podróży, odbytej w lecie 1878 roku przez Henryka Müldnera.

Jest to odbitka z *Wędrowca.*

⁂ Zajmujący utwór beletrystyczny Maurycego Jokaja pod tytułem: „Czarne djamenty“, ukazał się w oddzielnej książce, w przekładzie A. Caillierowej.

⁂ Bibljografja polska pod tytułem „Katalog nowych książek“ za miesiąc czerwiec wyszła z druku i jest do odebrania w znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincji.

⁂ Wkrótce wyjdzie z druku „Monografja miasta Sandomierza“, napisana przez księdza Melchjora Bulińskiego, b. profesora historji w b. akakemji duchownej w Warszawie.

Wydawnictwem po śmierci autora zajmuje się ks. W. Kukliński.

Ś. p. ksiądz Buliński zaszczytnie znany jest w literaturze naszej, jako autor Historji kościoła w kilku tomach.

⁂ P. Wł. Okoński wydał świeżo tom swoich pomniejszych prac dramatycznych.

Znajdujemy tu: „Piękną“, „Anteę“, „Helwię“, „Na targu“ i „Błazna“.

⁂ Książka jubileuszowa J. I. Kraszewskiego znalazła tak szeroki popyt, że musiano zamknąć listę prenumeratorów, gdyż liczba tłoczonych egzemplarzy (4,000) została już w całości zamówioną.

⁂ Włodzimierz hr. Łoś, pisarz mało u nas dotąd znany a ceniony za granicą, rozpoczął w *Wieku* szereg historycznych szkiców, głównie na obyczajowej historji czasów stanisławowskich osnutych.

⁂ Opuściła prasę „Historja literatury polskiej w zarysach dla młodzieży“, napisana przez K. Wł. Wojcickiego, a wydana nakładem księgarni Adolfa Kowalskiego.

⁂ Świeżo wyszło z druku, jako odbitka z *Wędrowca,* studjum geograficzno-historyczne pod tytułem: „Zamek Melsztyn i jego zwaliska,“ napisane przez pana Marcelego Turkawskiego.

⁂ Wydział nauk przyrodzonych ogłosił na rok 1879/80 temat do rozprawy na medal pod tytułem: „Rys wszelkich poszukiwań geologicznych. dokonanych w Królestwie Polskiem od czasow Jerzego Bogumiła Puscha (zmarłego w 1846 roku 2. października), aż do czasów obecnych“.

⁂ Akademja francuska przyznała Hektorowi Malot'owi nagrodę Montyona (2,500 fr.) za jego romans p. t. *Sans famille.*

⁂ Kandydatem do nagrody 20,000 franków, przyznawanej co dwa lata przez Paryzką akademję nauk moralnych i politycznych ogłoszony jest pan Démolombe, dziekan wydziału prawnego w Caen.

⁂ Piąty archeologiczny kongres zbierze się w Tyflisie w październiku 1881 roku; wypracowaniem programu zajmie się komitet, mający się zebrać w styczniu 1880 w Moskwie.

Prasa perjodyczna.

⁂ Ludwik Jezierski, znany i utalentowany publicysta, nabył dziennik *Telegraphe* i zamierza wydawać go pod swoją redakcją od 1. lipca.

⁂ W Petersburgu z dniem 13. lipca zacznie wychodzić pod redakcją p. Szelesnewa nowy dziennik polityczny pt. *Russkij Kurjer.*

⁂ Paryski trybunał sądowy roztrząsał sprawę p. Lampre'a, geranta dziennika *Triboulet.* Oskarżony on był o pomieszczenie artykułu obrażającego obecnego prezydenta rzeczypospolitej. Sąd, po przesłuchaniu oskarżonego, wydał wyrok skazujący p. Lam-

pre'a na sześć miesięcy więzienia i 3,000 franków grzywny, oraz poniesienie kosztów postępowania sądowego.

Sztuki piękne.

*** Wydział krajowy rozpisał konkurs celem wykonania rzeźb figuralnych dla budowy gmachu sejmowego we Lwowie, w którym mogą brać udział tylko artyści polskiej i ruskiej narodowości.

*** Aleksander Zarzycki ma być przedstawiony władzy wyższej do potwierdzenia na stanowisko dyrektora Konserwatorjum warszawskiego.

*** Otwarcie Monachijskiej międzynarodowej wystawy sztuk pięknych nastąpi w dniu 19 b. m.;

MALARSTWO KULINARNE.

„Miej dobrą kuchnię i dbaj o kobiety" — takie były jedynie instrukcje, dane przez Bonapartego panu de Pradt ambasadorowi.

Kto ma dobrą kuchnię i dba o kobiety, ten nigdy nie upadnie..

Dawać obiady — jestto wywierać wpływ na inteligencją, na duszę, na uczynki ludzkie, poruszać stronnictwa, wstrząsać cesarstwami i zmieniać kształt świata.

Kuchnia stanowi część obyczajów narodu — a rewolucje rozpoczynają się od bankietów.

W 1848 roku Lamartine, zaskoczony przez deputację zamiataczy ulic, znalazł dla nich te tylko wyrazy:

— Assenizujmy panowie, assenizujmy!

Gdyby zamiast zamiataczy przyjmował deputację kucharzy, poeta-mówca mówiłby więcej niż godzinę!

Być może iż będziemy kiedyś mieli konserwatorjum kucharskie.

Instytucja ta przynosiłaby ogromne korzyści, wpłynęłaby na rozwój handlu, na polepszenie smaku, i sprzyjałaby daleko więcej uspokojeniu umysłów, niż owe bezużyteczne środki i prowizoryczne ustawy, które deputowani różnych parlamentów stanowią prawie codzień wśród ustawicznych sporów.

Osoby mające lat 60 opowiadają teraźniejszemu pokoleniu, że był czas gdy kuchnia francuska była szczerą i poważną.

Działo się to wtedy, gdy dla sporządzenia potrawki z zająca potrzeba było... zająca —podczas gdy dziś można się bez niego doskonale obejść!

Zamiast rosołu istnieje mięszanina soków nieznanych zwierząt.

Widać wprawdzie wołowinę lub baraninę na etykiecie, lecz w słoiku znajdujemy tylko rodzaj maści, jakąś czarną i gęstą masę, obrzydliwego zapachu... Łyżka tego tajemniczego soku i garniec wrzącej wody, oto co nam podają dziś zamiast owego patryarchalnego rosołu, który nam dostarczał dawniej poczciwy gamen po ośmiu godzinach cierpliwej pracy.

Zupa rakowa przygotowuje się za pomocą czerwonego proszku, sprzedawanego w aptekach.

Dla zupełnego złudzenia bierze się z pudła wysuszoną główkę rakową, z której mięso zjedzono już przed dwoma lub trzema dniami i rzuca w zupę, którą ci garson podaje, szyderczo się uśmiechając.

Główka ta jest tak nieprawdopodobną, jak śledź wędzony na haczyku wędki, lub jak tragedja w... *Bouffes-parisiennes.*

W niektórych restauracjach fabrykowano przez długi czas rybę morską z wymoczonego stokfiszu, zręcznie wyciskanego na cienkim grzebieniu.

Wszyscy wiedzą, że mniemane delikatne cząstki ptaków, figurujące w pasztecikach, wykrawane są ostrym nożem z głębi podniebienia wołowego.

Masło nawet miało swą porę — dziś dają nam ostatki świec.

Wszystko jest fikcją, illuzją, kłamstwem we współczesnej kuchni!

Ostatnie jednak słowo jeszcze nie zostało wypowiedziane.

W jednej z większych restauracyj paryskich wynaleziono... malarstwo kulinarne; przy zakładzie utrzymywany jest malarz, a przykład ten z gwałtowną szybkością naśladowali restauratorowie wszelkiego rodzaju.

Tak panowie, wasz befsztyk jest malowany, omlet, baranina, sałata, wszystko to barwi się odmiennym sposobem.

Trudno jest mieć tak urządzoną kuchnię, aby nareszcie można smażyć jednocześnie schab, cynadry, befsztyk, kotlety, a także pstrągi lub inne ryby, które zamówiłeś smażone na ruszcie.

Co robić?

Artysta bierze farbę brunatną i naciera nią ruszt, następnie kładzie na nim mięso i przyciska do rusztu, albo też uderza je szczotką zupełnie jak dla otrzymania *korekty* w drukarni.

Ruszt reprezentuje tu czcionki a mięso arkusz papieru.

Następnie wszystko wsuwa się do pieca.

Gdy mięso jest upieczone, *artysta* pociąga pędzlem ciemne linje, oznaczające ślad rusztu, a gdy później z oburzeniem zawołasz: „ależ ten befsztyk nie ma żadnego zgoła smaku", pokazują ci ślady rusztu.

Trzeba zamilknąć!

Z omletem jest znów inna historja!

Dziś omlet robi się z czterech białek jaja i jednego żółtka.

Żółtko zachowuje się dla odegrania roli śmietanki.

Do białek dodaje się pewien rodzaj nieszkodliwej tynktury, a gdy *artysta* posmarował pędzlem maczanym w miksturze żółtej okry, powierzchnię omletu — prosty kuchcik pociąga go raz jeszcze rozpalonem do czerwoności żelazem, co dodaje koloru i daje temu przedmiotowi sztuki pozór pożywnej potrawy.

Widziałem niedawno malowanie baraniny upieczonej pod blachą — i operacja ta szczególniej mnie zainteresowała; szło o to, aby zrobić z tego *baraninę z rożna.*

Przekłuwszy mięso rożnem, natychmiast wyciągniętym — kucharz podaje baraninę chłopcu mówiąc: „do farby".

Malarz ma przed sobą z piętnaście słoików rozmaitego kształtu.

Każdy słoik ma swój pędzelek; obok leżą dwie lub trzy szczotki, mniej lub więcej twarde...

Artysta popatrzył chwilę na podaną mu baraninę— potarł ręką czoło, następnie umoczył pędzel w słoiku noszącym etykietę: „do przyrumienienia" i pomalował ciemne linje na wyjętej z pod blachy baraninie.

Następnie małym chwaścikiem porozsypywał na blasze proszek zwęglonego mięsa, przeznaczony na to aby pieczeń *trzeszczała w zębach.*

Pędzlem „naturalnej krwi" naśladował nakłucia, z których sos obficie spływał.

Kuchcik wlał dwie czy trzy łyżki buljonu na półmisek, dodał trochę soku buraków, a następnie małą szprycką, zakończoną trzema otworami, upstrzył to wszystko gorącą tłustością.

Baraninę tę podano jakiejś wołoskiej rodzinie z anonsem:

— Służę państwu... prościuteńko z rożna!

Zaledwie ta operacja się skończyła—gdy usłyszałem przez tubę głos:

— Cztery trznadle — cztery!

Kucharz krzyknął natychmiast!

— Zawołać prędko Alfreda z lodowni!

Zapytałem:

— Co to za Alfred?

— Jest to *majster od trznadli* — odrzekł malarz.

Wszedł Alfred.

Podano mu cztery... wróble.

Wciągnąwszy w słomkę trochę tłustości z kurczęcia, nakłuł każdego wróbla nad kuperkiem i nadmuchał gorącej tłustości między mięso i skórę.

Wróble stały się trznadlami ociekającemi tłustością.

Tak podany wróbel kosztuje trzy franki.

Nawet *raja* (ryba morska) przechodzi przez ręce artysty.

Aby przyrządzić raję smarzoną w maśle, trzebaby dużo masła — raja ogromnie pije.

— Cóż się robi?

Gotuje się rybę osobno.

Masło roztapia się w piecu, nigdy nie czyszczonym, tak że masło jest czarne, zanim jeszcze jest gorące i dwie łyżki przypalonego masła dają dość sosu do porcji rai, któraby pochłonęła pół funta tej kosztownej substancji.

Jest to raja — jest i masło smarzone... nie jest to jednak raja smarzona na maśle.

Malarz pracował wielce tego wieczora.

Pomalował dwa czy trzy melony —jednemu zbyt dojrzałemu porobił śliczne zielone linie przy obu kantach— drugiemu suchemu mączystemu udzielił soku spływającego z pierwszego, a za pomocą słoika z „zielonem" namalował mu wspaniałe zielone brzegi.

— Co jest najtrudniejsze—rzekł mi malarz—to robota jaj na półmisku; trzeba prawdziwego chirurga, aby tę operację zręcznie wykonał.

Restaurator nie chce dawać dwóch jaj—a nie śmie odać jednego.

Kucharz bierze talarz, na którym znajduje się trochę rozpuszczonego masła — nacina wokoło skorupę jajka narzędziem dość podobnem do djamentu szklarskiego, następnie nożem zmaczanym w oliwie przecina jajko szybko przez środek, w tem miejscu gdzie skorupa została nacięta — jajko spadając na półmisek dzieli się na dwie połowy, pół żółtka pada na prawo, pół na lewo — w ten sposób jedno jajko reprezentuje ich dwa...

Zdumiony taką pomysłowością zapytałem;

— Czy mi nic więcej nie możecie pokazać?

— Dosyć tego na jeden raz — odpowiedział artysta kulinarny.

A jednak nie było to jeszcze wszystko.

Garson z góry obtalował; *jeden roquefort amatorski!*

— Ci goście zawsze są jednakowi — mruknął malarz—gdy jest pora świeżego roqueforta, zachciewa się im starego.

— Jak więc to urządzacie?

—Przysusza się lekko ser na piecyku—i następnie maluje na nim zielone łyżki jakby na mapie, a Wiktor potem *ożywia* porcję.

— Cóż to za jeden ten Wiktor?

— To kredencerz, mający kolekcję starych kawałków holenderskiego sera, które trzyma w kącie wilgotnej szafy—i z których rekrutuje *kolonistów* dla... zaludnienia roquefortu!

Aureljan Scholl.

Treść Nr. 24.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.